



Kamil Turecki

PRZERWANE MILCZENIE

Na gruzach
World Trade Center
Polskie historie

PRZERWANE MILCZENIE

[Kup książkę](#)

Copyright © by Kamil Turecki, 2021

Copyright © for this edition by Ringier Axel Springer Polska, 2021

Warszawa 2021

Autor: Kamil Turecki

Redakcja: Katarzyna Bury/Słowne Babki

Korekta: Marzena Kłos, Agata Tondera/Słowne Babki

Projekt okładki, skład i łamanie: Tadeusz Szlaużys

Zdjęcie na okładce: David Swanson/Zuma Press/Newspix.pl

Zdjęcie Kamila Tureckiego: Piotr Roszczyk

Zdjęcia: Jan Szumański

ISBN 978-83-8250-080-6

Wydawca:

Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o.

02-672 Warszawa

ul. Domaniewska 49

www.ringieraxelspringer.pl

Druk: Drukarnia im. A. Półtawskiego, Kielce

Kamil Turecki

PRZERWANE MILCZENIE

Na gruzach
World Trade Center
Polskie historie

ringier
axel springer



[Kup książkę](#)

WSTĘP

Nowojorska inspiracja

To było w październiku 2019 roku. Nowy Jork przywitał mnie powiewem chłodnego powietrza, złotymi gdzieś liśćmi oraz bezchmurnym, krystalicznie czystym niebem, dokładnie takim jak 11 września osiemnaście lat wcześniej. Tylko krajobraz jawił się zgoła inaczej. Nie było już dwóch dumnie pnących się niemal do nieba wież. Wtedy, w miejscu, w którym stały, zobaczyłem dwa wyłożone ciemnymi płytami otwory. Po ich ścianach woda spływała do jeszcze mniejszych dziur. Wydawało się, że parowała, niknąc w ciemnościach bez żadnej nadziei na odwrócenie swego losu. Dokładnie tak, jak losów kilku tysięcy osób, których ciała po zamachach na wieże World Trade Center nigdy nie odnaleziono. One też nie miały żadnych szans na przeżycie, gdy waliły się bliźniacze wieże. One też nie miały wyboru. Na poziomie zero wypisano kilka tysięcy nazwisk tych, których oficjalnie uznano za ofiary ataków. Obok ustawiono skromne kwiaty symbolizujące pamięć o dziadku, mężu, ojcu, bracie, babci, żonie, matce, siostrze, partnerze i partnerce. Rzuciły się jednak w oczy blaskiem czerwieni skąpanej w jesiennym słońcu, którego promienie przedzierały się ochoczo między drzewami. Obok stali rodzice z nastoletnim chłopcem, który nie miał prawa pamiętać tamtych wydarzeń. Przyszedł tu i stał niemal nieruchomo, patrząc w zadumie. Ojciec objął go ramieniem. On pamiętał, co tu się wydarzyło. Nikt o nic nie pytał. Wszyscy wiedzieli. Razem stali w ciszy.

To właśnie wtedy, widząc dziesiątki zmierzających w stronę dawnych wież, milknących z każdym kolejnym krokiem ludzi, pomyślałem sobie,

że choć o zamachach na World Trade Center w Nowym Jorku napisano i powiedziano już wszystko, to nie ma jednak opowieści o tamtych tragicznych wydarzeniach widzianych oczami amerykańskiej Polonii i Polaków przebywających w USA tymczasowo.

Gdy przekroczyłem progi 9/11 Memorial Museum (National September 11 Memorial & Museum), czyli muzeum pamięci o tym, co wydarzyło się w Nowym Jorku, Waszyngtonie i Shanksville w Pensylwanii, wróciły obrazy sprzed lat. Byłem wówczas kilkunastoletnim chłopakiem. Kiedy o godzinie ósmej czterdzieści sześć pierwszy samolot uderzył w wieżę północną, w Polsce zegar pokazywał czternastą czterdzieści sześć. Był wtorek. Końcówka ostatniej lekcji. Wszyscy z utęsknieniem, zmęczeni, odliczali czas do dzwonka. Internet w Polsce wtedy raczkował, a o mediach społecznościowych i smartfonach nikt jeszcze nie myślał. O wydarzeniach z Nowego Jorku dowiedzieliśmy się od nauczycieli, a ci od dyrekcji. Włączyliśmy stare szkolne telewizory. Relację przerywały usterki techniczne, ale już pierwsze obrazy z Nowego Jorku przerażały. Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, co się stało. Nieszczęśliwy wypadek awionetki – taka informacja pojawiała się najczęściej. W drodze do domu usłyszałem o drugim samolocie, który tym razem uderzył w wieżę południową. Wtedy zrozumiałem, że to nie może być przypadek. Następnego dnia zaplanowany był sprawdzian z matematyki, ale nikt nie myślał o szkole. W domu przez cały wieczór słuchaliśmy i oglądaliśmy relacje z USA. U kolegów i koleżanek z klasy było podobnie. Nikt nie był przygotowany. Klasówka została przełożona, ale powodów do zadowolenia za wiele nie było. Dzielił się swoimi wrażeniami, tym, co przeczytaliśmy, zobaczyliśmy, usłyszeliśmy. Szukaliśmy odpowiedzi na najbardziej nurtujące nas pytanie: „Czy to wojna?”. Baliśmy się, i nie ma w tym ani krzty przesady. Pokolenie dziadków żyło z traumą II wojny światowej, rodzice mierzyli się z komunizmem, więc może tak zaczyna się wojna mojej generacji? Ale czy to nasza wojna? Z kim? Kto jest naszym wrogiem? Pytań było wiele. Odpowiedzi brak.

Amerykańskie muzeum nie tylko opowiada historię tego, co wydarzyło się 11 września 2001 roku w USA. Owszem, możemy tu zobaczyć wiele pamiątek związanych z atakiem na World Trade Center w Nowym

Jorku, na Pentagon w Waszyngtonie oraz z rozbiciem porwanego przez terrorystów samolotu w Shanksville w Pensylwanii. Przede wszystkim to jednak uczczenie pamięci wszystkich ofiar tamtego tragicznego dnia. Na specjalnie przygotowanych interaktywnych ekranach można bowiem przeczytać informacje o każdej z niemal trzech tysięcy ofiar ataków terrorystycznych, do których przyznała się organizacja Al-Kaida.

Wśród tych, którzy zginęli, byli również Polacy – zarówno ci mieszkający w USA od wielu lat, jak i ci, którzy przyjechali do Nowego Jorku na chwilę. Kilka tygodni przed śmiercią Maria Jakubiak omal nie zginęła w spadającej bez żadnej kontroli windzie w wieży północnej WTC. Norbert Szurkowski, syn słynnego kolarza szosowego Ryszarda Szurkowskiego, miał tego dnia skończyć pracę w wieży jeszcze przed otwarciem biur. Nie zdążył. Dla Łukasza Milewskiego praca w restauracji na sto pierwszym piętrze wieży północnej WTC stanowiła tylko wakacyjną przygodę, pozwalającą przy okazji zarobić. Planował wrócić do Polski, dokończyć studia w Białymstoku. Jan Maciejewski pracował w najbardziej dochodowej restauracji w Nowym Jorku kilka pięter wyżej, czyli nad strefą uderzenia samolotu. Na ewakuację nie miał szans. Doroty Kopiczko tego dnia miało nie być w ogóle w pracy. Samolot, który wbił się w wieżę, odciął jej drogę ucieczki. Podobnie jak Annie DeBin, asystentce w dziale prawnym firmy Cantor Fitzgerald.

To jednak nie wszystkie polskie ofiary ataków z 11 września. Rzadko kiedy w mediach wspomina się o dwóch kolejnych osobach, które wyjechały z Polski jako dzieci. Jedną z nich jest stolarz Józef Piskadło. W czasie ataku znajdował się powyżej setnego piętra jednej z wież. Nie miał zatem szans na pomoc. Z kolei rodzina Giny Szejnberg uciekła do Rosji przed Holokaustem, by po wojnie wrócić do Polski. Do Stanów Zjednoczonych wyemigrowała w latach sześćdziesiątych, gdy Gina była nastolatką. W wieży północnej WTC pracowała na dziewięćdziesiątym szóstym piętrze, w strefie uderzenia samolotu.

Przeglądając w nowojorskim muzeum multimedialne biografie polskich ofiar, tylko utwierdziłem się w przekonaniu, że na dwudziestą rocznicę ataków warto je przybliżyć polskiemu czytelnikowi, ale także spisać opowieści tych, którzy przeżyli. Zaprosiłem więc do współpracy

Leokadię Głogowską uciekającą z osiemdziesiątego drugiego piętra, zakleszczonego w windzie Jana Demczura, który uratował nie tylko siebie, lecz także kilka innych osób, Stanleya Trojanowskiego – biorącego udział w akcji ratunkowej i Irenę, choć woli ona pozostać anonimowa. Uciekała przed kurzem i pyłem walących się wież. Jej historia pokazuje, jak wielki wpływ na ludzką psychikę miały wydarzenia z 11 września. Dwa lata później myślała bowiem, że historia się powtarza, a obrazy, o których chciałaby zapomnieć, wróciły ze zdwojoną siłą.

W ciągu ostatnich trzech lat opublikowałem w Onecie serię artykułów na temat olbrzymich odszkodowań, jakie mogą uzyskać Polacy pracujący przy oczyszczaniu terenów, na których znajdował się kompleks World Trade Center. Amerykańskie władze federalne zaprzeczały, jakoby w rejonie Strefy Zero powietrze było toksyczne i mogło mieć później wpływ na kondycję zdrowotną przebywających na tym terenie ludzi. To stanowi do dziś podstawę do ubiegania się o rekompensatę finansową za poniesione straty zdrowotne. Już po pierwszych publikacjach zgłosiło się do mnie kilkadziesiąt osób pracujących kiedyś na zgłiszczach wież WTC. Do tej chwili skontaktowało się ze mną ponad stu pracowników twierdzących, że mają dowody na to, iż w wymaganym zakresie czasowym (od 11 września 2001 do 30 maja 2002 roku) byli obecni w Strefie Zero. Dzięki nagłośnieniu sprawy w Onecie wnioski piętnastu z nich zostały zakwalifikowane do rozpatrzenia przez amerykański Fundusz Odszkodowań dla Ofiar Wydarzeń z 11 września (The September 11th Victim Compensation Fund, czyli VCF). W chwili, gdy piszę te słowa, pięć osób otrzymało pieniądze, kolejne cztery czekają już tylko na przelew, wnioski sześciu innych – na ostateczną weryfikację. Łącznie Polacy otrzymali do tej pory ponad milion dolarów odszkodowania (niemal cztery miliony złotych). Zajmujący się tego typu przypadkami mecenas Andrzej Kaminski, amerykański prawnik polskiego pochodzenia, powiedział mi, że szacuje się, iż Polaków, którzy wciąż mogą starać się o odszkodowania, może być nawet cztery do pięciu tysięcy. To uświadomiło mi, że polskich historii związanych z World Trade Center jest mnóstwo i wciąż są nieopowiedziane.

Dzięki uprzejmości mecenas Kaminskiego i jego żony Bożeny Kaminskiej, dyrektor Centrum Polsko-Słowiańskiego (Polish Slavic

Center), swój pomysł na książkę przedstawiłem szerszemu gronu amerykańskiej Polonii mieszkającej na co dzień w Nowym Jorku i okolicach. Wtedy też poznałem bliskich Jana Szumańskiego, którzy opowiedzieli mi pokrótce jego historię i zachęcili mnie do kontaktu. Jan i jego żona Wiesława są przedstawicielami polskiej emigracji do Stanów Zjednoczonych na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, która najpierw trafiała do austriackich obozów specjalnie przygotowanych dla azylantów politycznych, by liczyć na łut szczęścia i podróż w nieznaną z nadzieją na rozpoczęcie nowego, szczęśliwszego i bardziej dostatniego życia w USA. Podobnych historii jest z pewnością znacznie więcej, ale losy Jana Szumańskiego zasługują na szczególną uwagę, bo był on kierownikiem załogi oczyszczającej znaczną część terenu z pozostałości po wieżach World Trade Center – pełnił tę funkcję od tragicznego września 2001 roku. Pokazał mi niepublikowane dotąd zdjęcia z miejsca, które kojarzyło mi się ze światem po apokalipsie – pokazujemy je w książce po raz pierwszy. Z Janem planowałem zobaczyć się wiele razy, jednak pandemia koronawirusa uniemożliwiła loty do Nowego Jorku. Musieliśmy wykorzystać dostępną nam technologię, by móc się komunikować. Z każdym kolejnym wirtualnym spotkaniem przekazywane przez Jana opowieści upewniały mnie w poczuciu, że obok tego człowieka i jego rodziny nie można przejść obojętnie. Na początku ich amerykańskiej przygody Nowy Jork pokazał im swoje ciemne oblicze, a kiedy wydawało się, że najgorsze za nimi, nadszedł 11 września 2001 roku.

Książka jest zatem podzielona na dwie części. Pierwsza z nich to historia Jana Szumańskiego, jego rodziny, ówczesnych przyjaciół i znajomych, napisana na podstawie pamiętników głównego bohatera i rozmów z nim. Druga zawiera rozmowy z Polakami, którzy w trakcie ataku znajdowali się w wieżach, brali udział w akcji ratunkowej lub byli w pobliżu i podobnie jak tysiące osób uciekali w popłochu, nie wiedząc, co tak naprawdę się stało. Przedstawiam też ośmioro Polek i Polaków, którzy zginęli wskutek zamachów z 11 września – ich losy nakreśliłem na podstawie rozmów z ich najbliższymi. Jednak nie wszyscy chcieli wracać do tych wspomnień. Rozumiem to i szanuję tę decyzję. W tym przypadku trudno bowiem mówić o tym, że czas leczy rany. Podczas spotkań ponownie je otwieraliśmy. Mimo upływu tylu

lat wciąż nie chcą się zbliżniać... Nieraz rozmowę trzeba było na moment przerywać, by kontynuować ją po chwili. Opisując nasze rodaczki i naszych rodaków, którzy zginęli, bardzo przeżywałem ich historię. Trudno mi było opanować żal i smutek. Nie zapomnę też widoku mojej dziewczyny Moniki, wyraźnie wzruszonej, która jako pierwsza recenzentka czytała książkę i musiała robić sobie przerwy w lekturze. Celem kilkumiesięcznej pracy było to, aby ofiary zamachów, a także naznaczeni wydarzeniami z 11 września, stali się nam wszystkim w Polsce bliscy. Głęboko wierzę, że zapamiętamy te nazwiska. Po rozdziale poświęconym odszkodowaniom historię zamyka pełen refleksji i podsumowań list Jana do Życia.

Jan długo nie był gotowy na rozmowę o tym, jak 11 września 2001 roku zmienił życie całej jego rodziny. Z tego miejsca bardzo dziękuję mu za zaufanie, za inspirujące rozmowy i udostępnienie mi wspomnień i dokumentów, zamkniętych dotąd w szufladzie.

Dziękuję rodzinom polskich ofiar tragicznych wydarzeń sprzed dwudziestu lat. Mimo wielu trudnych pytań i wspomnień zgodzili się przede mną otworzyć i opowiedzieć historię swoich najbliższych, którzy znaleźli się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie.

Dziękuję Leokadii Głogowskiej, Irenie, Janowi Demczurowi i Stanleyowi Trojanowskiemu za ich świadectwa, bohaterstwo i wiarę w ostateczne zwycięstwo dobra nad złem.

Dziękuję Bożenie Kaminskiej i Andrzejowi Kaminskiemu za wszelką pomoc, życzliwość, dobre serce, a także gościnność podczas pobytu w Nowym Jorku.

Dziękuję Rodzinie za wsparcie, dobre słowo i trzymanie kciuków.

Dziękuję mojej miłości Monice za pomoc, zrozumienie, cierpliwość, poświęcenie i wiarę w powodzenie projektu. Każdego kolejnego dnia motywowała mnie do dalszego działania. Bez jej wsparcia byłoby dużo trudniej.

PROLOG

Wokół nastała cisza. Słyszać tylko delikatne pukanie w ścianę z widniejącą na niej liczbą 50. To numer piętra, na którym zatrzymała się winda. W ciągu zaledwie kilku sekund spadła o co najmniej kilkanaście kondygnacji. Drzwi są otwarte. Wyczuwając rękami płytę kartonowo-gipsową oddzielającą pasażerów od zbawczego korytarza, Jan Demczur spogląda za siebie.

– Chyba będę próbował rozbić ją gumową ściągaczką do okien – odzywa się, spoglądając na pięciu współpasażerów. Nie oczekuje aprobaty. Wie, co ma robić. Dziś zajmuje się myciem okien w budynkach World Trade Center, wcześniej pracował na budowach. Ściąga przeszkadzającą gumę, pozostawiając sam metal. Ściana delikatnie się kruszy, ale efekt jest mizerny w zestawieniu z włożonym wysiłkiem. Na czole Jana pojawiają się krople potu. Po kilku minutach ręce drżą coraz bardziej. Ścierpnięte upuszczają narzędzie – spada między ścianę a windę. Z nerwów łza pojawia się w oku. „Czy tak właśnie ma wyglądać mój koniec?” – przemyka mu przez głowę. Przed oczami pojawiają się obrazy żony i dzieci. Duszący dym wgryza się w nozdrza. Wracający ze śniadania współpasażerowie mieli przy sobie zamoczone w kawie i mleku serwetki, które poprzytykali do nosa. Jan zagląda z nadzieją do wiadra. Na jego dnie leży krótki metalowy trzonek ściągaczki.

– Panowie, ostrymi końcami możemy próbować przebijać ścianę. Ta ma maksymalnie dwa i pół centymetra grubości. Damy radę...

– Uciekać! Natychmiast uciekać! – grzmi kolega Leokadii Głogowskiej z osiemdziesiątego drugiego piętra. W życiu by nie podejrzewała, że potrafi on wydać z siebie taki ryk... Zawsze grzeczny, bardzo spokojny, opanowany i delikatny. Gdyby głos podniósł ktoś inny, pewnie nikt

nie zwróciłby uwagi, ale to był on. Przeżył atak na World Trade Center w 1993 roku. Pamięta doskonale tamte wydarzenia. Wie, co należy robić. Leokadia biegnie w stronę wyjścia przy ścianie wschodniej. Do tego od strony północnej kierują się ci z jej piętra, którzy są najbliżej. Oprócz niej sześć do ośmiu osób. Hol, przez który przechodzi się do wind, wypełniony jest gęstym, czarnym dymem.

– Panie Boże, jeśli to jest moment mojej śmierci, błagam, daj mi tylko pokój w sercu. Przyjmij mnie do siebie – mówi cicho sama do siebie.

Przed oczami przelatują jej wydarzenia z ostatniego półrocza, szczególnie to z 15 sierpnia. Omal wtedy nie zginęła. Nie ma jednak wyjścia. Nie wie, co kryje się za dymem, ale z wiarą w ocalenie wskazuje w ciemność. Po chwili z tumanów wyłania się przeciwpożarowa klatka schodowa. Pusta. Nikogo nie ma. Leokadia bardzo szybko pokonuje około dwudziestu pięter w dół. To dzięki sandałom, które włożyła w ostatniej chwili przed wyjściem do pracy, choć zastanawiała się nad szpilkami. Nikt nie wychodzi z biur. Chyba wszyscy czekają na komunikat. Tak przecież uczą podczas szkoleń...

Tym razem Jan Szumański nie zwraca uwagi na Manhattan za oknem. W akompaniamencie płynącej z radia muzyki ustala w głowie plan dnia. Spokój zostaje przerwany przez przerażony głos brygadzysty.

– Wiesiek, nie rozumiem, o czym mówisz. Nie krzycz tak, uspokój się, proszę. W czym problem? – Jan próbuje pojąć, o co chodzi koledze.

– Janek, powtarzam. Coś uderzyło w wieże. Na ulice spadają fragmenty budynku. Nie jedź tam.

– Co ty wygadujesz?

– Janek, zrozumiałeś?

– Tak – odpowiada, dostrzegłszy w tym momencie przez okno samochodu dym unoszący się z jednej z wież. Wiesiek jeszcze coś mówi, ale kotłujące się w głowie myśli zagłuszają jego słowa. Jan patrzy na zegarek. Jest tuż przed dziewiątą.

– Muszę szybko dojechać na budowę i zobaczyć, co się dzieje – mówi sam do siebie, jednak w tej samej chwili zdaje sobie sprawę, że nakreślonego naprędce planu nie uda się zrealizować. Policja już blokuje ulice, wszędzie tworzą się gigantyczne korki. Kiedy jest w drodze do głównego biura firmy, dziennikarze radiowi przekazują koszmarną

wiadomość – nastąpiła druga eksplozja, tym razem w wieży południowej World Trade Center. Z najnowszych informacji wynika, że ogień w pierwszej z „bliźniaczych wież” to prawdopodobnie efekt błędu pilota i wypadku sportowej awionetki.

– Cóż to się dzieje? – pyta Jan właściciela firmy, którego spotyka w biurze.

– To jest nieprawdopodobne. Sam spójrz. Przed chwilą powiedzieli, że drugi samolot uderzył, tym razem w drugą wieżę.

– Jak to: drugi samolot? Przecież mówiono o jakiejś eksplozji, wcześniej o wypadku.

– Tak, ale zobacz to.

W telewizji właśnie pokazują w zwolnionym tempie, jak samolot pasażerski wbija się w wieżę południową.

– Janek, to nie może być przypadek. Ktoś nas właśnie zaatakował...

CZEŚĆ I

ROZDZIAŁ I

Strach przed nieznanym

Każdy z nas sam decyduje o swoim życiu. Wybiera kierunki, cele, szuka najlepszych dróg, choć nie zawsze tych najłatwiejszych. Wydaje się, że nad wszystkim panujemy i mamy pełną kontrolę. Często jest to bardzo mylne wrażenie. Są momenty, w których potykamy się o drobne przeszkody. Pojawiają się też niespodzianki, które mogą zmienić całą naszą przyszłość – przypadkowe spotkania, zobaczenie czegoś, co robi na nas niezapomniane wrażenie, setki nawet najdrobniejszych rzeczy, gestów, ludzi potrafiących zmienić drogę, po której szliśmy. I tak życie zacznie przebiegać w równoległym wszechświecie. W okresie pierwszych kilkunastu lat życia natykałem wielokrotnie na takie przeszkody, które powoli zmieniały kierunek mojej egzystencji. Nadszedł dzień, kiedy stało się to widoczne, i skrzyłem z mojej wytyczonej trasy w poszukiwaniu nieznannej przyszłości.

Lipiec, 1981 rok. Pociąg relacji Koszalin–Warszawa. Dwie torby pozostawione w przedziale. W wagonie tłoczno, ale pojedyncze miejsca są jeszcze wolne. Jan z Wiesią stoją przy otwartym oknie, tyłem do pozostałych pasażerów, jakby nie chcieli dać po sobie poznać, jak bardzo są przerażeni. Promienie słońca otulają ich twarze, jak gdyby chcieli zapytać, dlaczego tych dwoje się nie uśmiecha. Dzień słoneczny, niebo bezchmurne, nie trzeba walczyć z parasolami i porywistym wiatrem. Im jednak nie jest do śmiechu. Po policzkach spływają łzy. Wyruszają

w nieznane. Dokładnych planów przecież nie mają. Pozostała im jedynie wiara w słuszność podjętej niedawno decyzji.

Na peronie obdrapanego koszalińskiego dworca stoi Danusia, koleżanka Wiesi ze szkoły średniej, jedna z nielicznych osób znających prawdziwy powód podróży młodych. W czasie studiów nie rozmawiały ze sobą często, ale tuż przed wyjazdem relacje się odnowiły. Jan zna Danusię tylko z krótkich spotkań, właśnie to go dziś martwi najbardziej. „Czy to bezpieczne zaufać komuś po tak długiej nieobecności w naszym życiu? – zastanawia się. – Czy to przypadek, że Danka pojawia się w naszym świecie tu i teraz? Ktoś ją wysłał czy to znak od losu, że nie trzeba wyjeżdżać, a po prostu ożywić dawne przyjaźnie i znajomości? A może po prostu przesadzam?” W jego głowie pojawiają się różne myśli.

Obok Danki stoją rodzice Wiesi. Ich uśmiechy zdradzają, że nie do końca zdają sobie sprawę z tego, jakie naprawdę plany mają córka i jej mąż. Wiedzą jedynie, że młode małżeństwo wyjeżdża szukać swojego szczęścia do Austrii. Dobra praca, wyższe zarobki, nauka języka, słowem – większe szanse na to, by się dorobić i zapewnić sobie lepszy start we wspólną dorosłość. Od kilku lat Polacy, jadąc tam, nie muszą legitymować się wizą, więc Wiedeń stał się naturalnym kierunkiem dla wielu rodaków. Najbliżsi Wiesi nie mają pojęcia, że młodzi nie planują już wrócić do kraju. O tym wie tylko rodzina Janka, która jest daleko stąd, w Wielkopolsce. Nie była zachwycona, gdy dowiedziała się o owym pomysle. Rodzice Jana boją się, że coś może pójść nie tak, że ich syn z żoną wpadną w poważne tarapaty i przy okazji pociągną w przepaść najbliższych. Jan wie, że gdyby matka była obecna teraz na dworcu, łzy spływałyby jej po policzkach, ale nie zapomniałaby nakreślić mu znaku krzyża na czole. Na drogę, dla błogosławieństwa.

Para z lokomotywy zaczyna snuć się w powietrzu. Gwizdek konduktora. Odjazd. Ostatnie mrugnięcie okiem, by dodać otuchy, ostatnie podniesienie dłoni na pożegnanie. Jan wpatruje się w postać Danusi, która powoli maleje w oddali, aż w końcu niknie zupełnie. Jej życzenia szczęścia zgubiły się w hałasie ruszającego pociągu. Wiesia patrzy pełna nadziei na męża. Zostają sami.

Podróż przebiega w milczeniu. Wlecz się niemiłosiernie, jakby miał to być sygnał od losu, od Boga, że może jednak to nie jest dobry pomysł; że może dostali czas na to, żeby zawrócić. W końcu Warszawa,

to wyłącznie Warszawa – stolica, ale nie taka straszna. Oboje ją znają, i to nie tylko z opowiadań. Podróże nie są im obce, szczególnie Janowi. Po szkole podstawowej odwiedził rodzinę w Wielkiej Brytanii. A teraz? A teraz robią sobie wycieczkę i wrócą. Tak przecież myślą wszyscy.

Tlą się w nich strach i niepewność, bo ruszają w nieznane. Nie wiedzą, czego się spodziewać. Gdy tak siedzą w ciasnym przedziale na niewygodnej kanapie, przez głowy przebiegają im wszystkie możliwe scenariusze ryzykownej eskapady. Rozważają je wspólnie, ale i każde z nich osobno. Jan stara się szukać pozytywów, wyobraża sobie radosne momenty, które mogą ich czekać w nowym świecie, lecz niemal natychmiast zastępują je pełne niepokoju przewidywania, skupiające się na możliwych niepowodzeniach i trudnościach. Nie chcąc martwić żony, próbuje się uśmiechać, ale sądząc po jej reakcji, chyba mu się to nie udaje.

– Tak naprawdę pierwszy raz jesteśmy sami, co? – zagaduje nieśmiało Wiesia, z trudem pokonując lęk i poczucie zawstydenia. Nigdy wcześniej na nic podobnego się nie odważyła. Nigdy też nie myślała, że będzie tak śmiała w realizacji postanowień. Ale czasy nie są łatwe. Gdyby było inaczej, w życiu nie zdecydowałaby się na takie ryzyko. Nic więcej nie mówi. Skąd można wiedzieć, kto siedzi obok. Komunizm skutecznie zakorzenił w ludziach brak zaufania. Z jednej strony – tej wynikającej głównie z biedy – każdy chce każdemu pomóc, z drugiej zwyczaj donoszenia kwitnie w najlepsze. Gdyby ktoś niepożądany dowiedział się o ich planach, w najlepszym wypadku mogłoby to się skończyć wizytą na komisariacie. O dalszych konsekwencjach wołała nawet nie myśleć, bo przeszywał ją paraliżujący strach o własną przyszłość. Patrzy na Jana i te dwie walizki, w połowie wypełnione ich ulubionymi książkami. To *Bracia Karamazow*, *Biesy i Zbrodnia i kara* Fiodora Dostojewskiego, *Opowieść wigilijna* i *Klub Pickwicka* Charlesa Dickensa oraz *Grona gniewu* Johna Steinbecka. Janek ma nadzieję, że ich historia będzie miała lepsze zakończenie niż bohaterów powieści zdobywcy Nagrody Pulitzera i Literackiej Nagrody Nobla, którzy odczuwali skutki wielkiego kryzysu. Susza znana jako *Dust Bowl* sprawiła, że rodzina farmerów podjęła odważną decyzję, by rozpocząć mozolną podróż z Oklahomy do Kalifornii w poszukiwaniu lepszego życia, przyszłości i godności. Jan nie chciałby skończyć jak bohaterowie książki. Im musi się udać. No i Droga 66.

Droga Matka od Chicago do Santa Monica w Kalifornii. Kilka tysięcy kilometrów, które rozpalają wyobraźnię młodych i wszystkich tych, którzy chcą poczuć wolność pełną piersią niczym nonszalancki Sal Paradise z powieści *W drodze* Jacka Kerouaca.

Wpijające się w uda rogi paszportów spoczywających w kieszeniach przypominają o swym istnieniu. Szumańskim udało się je dostać dość łatwo, nawet bez łapówek, co przecież wcale nie jest takie oczywiste. Pomogła w tym z pewnością coraz bardziej napięta sytuacja polityczna w kraju. Jest 1981 rok. Kilka miesięcy wcześniej prymas Stefan Wyszyński w swoim kazaniu zdecydowanie poparł strajk generalny Solidarności na Podbeskidziu, a nowy premier, generał Wojciech Jaruzelski, wprowadził kartki na mięso, wędliny, ryż, kaszę, mąkę i masło. Kolejne rozmowy między Kościołem katolickim, władzami a Solidarnością nie przynosiły rezultatów, a ludzie czuli, że coś złego wisi w powietrzu. Komunistyczne władze wydały Jankowi i Wiesi paszporty prawdopodobnie dlatego, że nie chciały, by ludzie tacy jak oni przebywali w kraju stojącym na skraju coraz to bardziej rozlewających się rozruchów. Odważni, niepokorni. Takich w PRL-u nie trzeba.

W drugiej kieszeni Jan ma zwinięte w rulonik kilkaset zaoszczędzonych dolarów. W czasie studiów kilkakrotnie wyjeżdżał do pracy do Berlina Zachodniego. To tam udało mu się zarobić trochę zielonych, które umożliwiły mu dość wygodne życie na studiach. Reszta przyda się teraz na wyjazd. Jan pograża się we wspomnieniach. Jego myśli uciekają w przeszłość.

Golina. Małe miasteczko w Wielkopolsce. Lata sześćdziesiąte poprzedniego stulecia. Przypadkowo przejeżdżający jego ulicami kierowca nie znajdował tu nic, co mogłoby przykuć uwagę. Główna ulica, kilka pomniejszych, które ją przecinały, kilka ważnych dla mieszkańców budynków: kościół, remiza strażacka, gospoda i szkoła. Większość domów zaniedbana i biedna. Niewiele osób spacerujących po popękanych chodnikach i parę innych, siedzących na nielicznych miejskich ławkach. Nic ciekawego. Ale dla Jana, jego rodziny i rówieśników to cały świat. Przyzwyczajeni do biedy nie zwracali uwagi na niezbyt interesujące otoczenie. Sercem miasteczka byli ludzie, którzy potrafili cieszyć się tym, co mieli. Żyło ich tu zaledwie kilka tysięcy. Jak to

w małych miasteczkach, każdy mieszkaniec miał swoją ważną rolę społeczną do odegrania, nawet jeśli polegała na egzystencji samej w sobie. Wśród nich chociażby pijaczyna śpiący na ławce czy sprzedawca w sklepie spożywczym, sprawiający wrażenie osoby mającej kontakt z lepszym światem i to tylko dlatego, że można było u niego kupić coś od święta. Nie żeby wszystkiego brakowało. Wręcz przeciwnie – większość towarów codziennego użytku była dostępna. Tylko za co je kupić? Tak czy siak, z takim trzeba było dobrze żyć. Niektórzy mieli mniej szczęścia w życiu albo i sami wybierali taką drogę. Na przykład biedni chodzący po domach z pytaniem, czy można w czymś pomóc. Szkoda tylko, że zamiast zapłaty w gotówce woleli szklaneczkę denaturatu. Żyjąc w takich miejscowościach jak Golina, oczekiwało się tych samych codziennych obrazków, a każde odstępstwo od normy uważano za co najmniej dziwaczne, czasem nawet niestosowne. W drodze do piekarni po chleb siedzącym na ławkach i znudzonym życiem denatom mówiło się „dzień dobry”, później stało się w kolejce po świeże pieczywo, którego zapach roznosił się po okolicy. W tym samym czasie kłaniało się („Niech będzie pochwalony”) przechodzącemu księdzu, który spieszył odprawić poranną mszę, ale grzecznie się zatrzymywał, by wysłuchać narzekań sąsiada na hemoroidy. Wszyscy się tu znali. Zachowanie czegoś w tajemnicy było niemożliwe. Wiadomości przekazywano od progu do progu, przechodziły z ucha do ucha niemalże z prędkością światła. Osią tej komunikacji był listonosz. Domy i mieszkania nie miały bowiem jeszcze skrzynek pocztowych, listonosz dostarczał zatem przesyłki bezpośrednio do rąk odbiorcy. Tym sposobem codziennie miał bezpośredni kontakt z dużą grupą mieszkańców. To oni byli jego głównymi źródłami informacji. A on nie potrafił utrzymać języka za zębami. Czuł się ważny i potrzebny, gdy mógł podzielić się lokalnymi nowościami. Plotki i ploteczki roznosiły się więc szybko. Wszyscy wiedzieli, kto się z kim kłóci, kto i na co choruje, kto się upił dzień wcześniej... Najbardziej pożądaną wiadomością było jednak to, kto kogo i z kim zdradzał. Listonosz wiedział wszystko. Od niego też zależało, komu „sprzedał” jakąś informację. To proste – ci, których lubił bardziej, byli poinformowani lepiej. Lata później Jan odkrył coś jeszcze. Sprawa dotyczyła listów z Anglii. Brat jego dziadka został po II wojnie światowej na Wyspach

i założył tam rodzinę. Jego córka od czasu do czasu spędzała wakacje u rodziny w Polsce.

Pewnego razu listonosz, wysoki pan z czarnym wąsikiem, jak zwykle pojawił się rano na ganku. Uśmiechnął się do matki Jana, podając list z Anglii. Podziękowała, odłożyła kopertę na pobliski stół, nie zważając na to, że doręczyciel przebierał nogami, by zwrócić na siebie jej uwagę.

– Pani Anno, nie sprawdzi pani? – wydusił w końcu po krótkiej wymianie informacji na temat tego, co dzieje się w Golinie.

– Później, jak skończę swoją robotę.

– Myślę, że jednak warto go otworzyć. Nie wiadomo, co tam w środku. Wie pani, może jakaś ważna wiadomość? Lato przecież mamy. Może znów przyjeżdżają z Anglii na wakacje?

W oczach matki Jan dostrzegł rezygnację. Szybkim ruchem otworzyła kopertę i zaczęła wodzić wzrokiem po tekście, a na jej twarzy malowało się coraz większe zdziwienie.

– Miał pan rację – stwierdziła zaskoczona. Listonosz uśmiechnął się triumfalnie. „No proszę, znowu zgadłem!” – mówiła jego mina. Ukłonił się na pożegnanie, poprawił torbę na ramieniu i ruszył w drogę. Czas biegł nieubłaganie, a przecież jeszcze tyle przesylek i... informacji było do przekazania.

– To naprawdę dało się tak łatwo przewidzieć? – spytała matka z niedowierzaniem w głosie po chwili milczenia. Na to podekscytowany Jan zaproponował:

– Mama, sprawdźmy, czy on tam nie zajrzał!

Trzymając kopertę nad parą, łatwo ją było otworzyć bez konieczności rozdierania, bo klej się rozpuszczał. Wystarczyło zagotować wodę. Tylko jak listonosz mógł to zrobić podczas porannego obchodu? A jednak list rzeczywiście wyglądał tak, jakby go ktoś otwierał. Najwidoczniej doręczycielowi nie wystarczyły informacje przekazywane przez innych i potrzebował, powiedzmy, dodatkowych i bardziej ekscytujących wieści. Wszak to takimi sprawami żyła Golina. Nie było się jednak o co obrażać. Matka Jana na wścibstwo zareagowała śmiechem. Żadnych oskarżeń i kłótni nie było. Po co wchodzić w konflikt z lokalnym urzędnikiem? Nic strasznego się przecież nie stało. Życie toczyło się więc dalej swoim wolnym rytmem.

Pociąg zwalnia i staje. Brak miarowego rytmu kół wyrywa Jana ze wspomnień. Stacja Gdańsk. A jak Gdańsk, to i morze. Przydałby się kojący szum jego fal. Korci wizja natychmiastowej wysiadki i leniwego wylegiwania się na plaży. Nawet korzystające z uroków lata tłumy by nie przeszkadzały. Ważne, aby na dnie morza móc zatopić wszelkie troski, rozterki, wahania... „Połowa drogi do Warszawy za nami” – myśli Jan, zerkając na żonę. Wiesia z emocji i ze zmęczenia śpi kamiennym snem. Jej mąż wygląda przez okno. Na peronie brzdąc trzymany za rękę – prawdopodobnie przez ojca – macha w kierunku któregoś z wagonów. Jan trochę malcowi zazdrości. Świat dzieci nawet w tych trudnych czasach na ogół jest beztroski i szczęśliwy, bo najczęściej nie zdają sobie one sprawy z biedy czy narzuconego systemu politycznego, w którym przyszło im żyć. To bardziej problem rodziców.

Gdy Jan był dzieckiem, jego ojciec, Eugeniusz, przeważnie miał mnóstwo zajęć – pracował przez osiem godzin dziennie jako kierownik zakładu utylizacyjnego, w którym przerabiano nieżywe zwierzęta na mączkę i paszę, a w położonym blisko Golicy Myśliborzu grywał na niedzielnych mszach w kościele jako organista. Jakby tego było mało, to jeszcze na jego głowie była orkiestra dęta straży pożarnej. „Tata był utalentowany i spełniał się jako muzyk” – rozmyśla Jan, a na jego twarzy widać podziw. Eugeniusz i jego bracia stworzyli nawet zespół, często na zabawach koncertowali przez całą noc. Ojciec dorabiał, jak mógł. Jeśli znalazł się klient, to i samochód mu pomalował. Do domu wracał zmęczony. W głowie Jana jawi się obraz taty, który po obiedzie siadał na kanapie i oglądał telewizję. „Pamiętam, jak z siostrami siedzieliśmy na jego ramionach i wyrywaliśmy pojawiające się coraz częściej siwe włosy” – wspomina. Ojciec zasypiał szybko. Na zabawę z dziećmi sił już brakowało. Teraz przed oczami Jana pojawia się mama Anna. Jak większość kobiet pracowała prawie bez przerwy. Zawsze wstawiała pierwsza, paliła w piecu, przygotowywała dla wszystkich śniadanie, robiła zakupy, gotowała pozostałe posiłki i sprzątała dom. Toaleta i centralne ogrzewanie pozostawały w sferze marzeń. Wodę matka podgrzewała zatem w garnkach, żeby można było w ogóle zrobić pranie – oczywiście nie w pralce, lecz na tak zwanych tarach. Po płukaniu bieliznę wieszała na sznurkach. A potem prasowanie... Jan kąpał się co kilka dni w budynku gospodarczym należącym do

właścicieli domu, w którym mieszkali. Wodę na kąpiel mama również grzała na węglowej kuchence.

Jan ma też dwie siostry. Starsza Ola zawsze była blisko niego. Młodszemu bratu imponowało to, że mógł spotykać się z jej starszymi koleżankami. Ola pomagała mu też w wielu rzeczach i prowadziła go przez życie. Nauczyła na przykład tańczyć. Nie było to łatwe. Do końca szkoły podstawowej nie lubił tego i jakoś nie potrafił opanować kroków. Zawsze wstydził się na zabawach. „Ale ona to zmieniła – pomyślał z czułością. – Był początek szkoły średniej. Olka wzięła mnie do pokoju gościnnego i zamknęła drzwi. Puściła muzykę z gramofonu Bambino i powiedziała, że teraz nauczysz mnie tańczyć”. Na myśl o tym kąciki jego ust unoszą się w uśmiechu. Miał problem, by się przełamać, ale w końcu się udało. Ola nie odpuszczała, a jako starsza siostra wzbudzała szacunek. Nigdy go nie zawiodła. Mógł jej zaufać, nawet jakby nie wyszło. Jan zdał u niej egzamin i od tamtej pory doskonale bawił się na wszystkich imprezach z tańcami.

Grażyna jest najmłodsza. Jak to w wielu rodzinach drzewiej bywało, najmłodsze dziecko było odsuwane przez starsze rodzeństwo. Tak też było u Szumańskich. Janek trzymał sztamę z Olką. Grażyna często przeszkadzała. Dosłownie i w przenośni. Dopiero później, pod koniec szkoły średniej, kiedy dojrzał i zaczął inaczej pojmować życie, miłość między rodzeństwem rozkwitła. Nie mogło być inaczej. Tak ich wychowano.

Rodzice dawali im sporo swobody, bo wszyscy wzajemnie darzyli się zaufaniem. Co nie znaczy, że młodych Szumańskich wychowywała ulica. Mama i tata sprawdzali, jak idzie im nauka w szkole i czy wychodzą do kościoła. Zawsze, gdy młodzi opuszczali dom, rodzice zadawali podstawowe pytania: „Dokąd idziesz?” i „Lekcje odrobione?”. I nakazywali: „Tylko nie wracaj za późno!”. Rodzice jedno, oni drugie... – delikatny uśmiech znowu pojawia się na twarzy Jana. Ani on, ani siostry nie byli ideałami, o nie... Znikali przecież czasem na kilka godzin, aby udać się do pobliskiego stawu na kąpiel. Obok jeziorka był las, to i grzybów można było nazbierać. Zimą, gdy rozlewiska rzeki Warty były zamrożone, rodzeństwo jeździło na łyżwach. „Świat idealny dla dzieci, bo bez większej kontroli i zdawania sprawozdań, co się w danym momencie robiło. Przy całym swoim braku czasu rodzice dawali nam jednak to, co najważniejsze, czyli miłość” – wspomina teraz Jan z rozrzewnieniem.

Zawsze, gdy mówi o rodzicach, bez wahania podkreśla, że nauczyli go uczciwości, wartości prawdziwej przyjaźni oraz szacunku wobec innych i dla pracy. W jego mniemaniu miłość mamy była bezgraniczna. W końcu Anna nigdy nikomu źle nie życzyła, czasem nawet tłumaczyła tych, co ją krzywdzili. Martwiła się o swoje dzieci, przeżywała ich radości i smutki, mimo że doba ma przecież tylko dwadzieścia cztery godziny i czasu często brakowało, a i sił z każdym kolejnym rokiem niestety nie przybywało. Właśnie dlatego Jan pamięta szczególnie te chwile, gdy byli razem.

W jego głowie pojawia się obraz mroźnej zimy. Ulice były pokryte śniegiem, a biały puch skrzypiał pod nogami. Do teraz słyszy ów charakterystyczny dźwięk. No i ten lodowaty wiatr, niestraszny ojcu, który ciągnął dzieciaki na sankach i osłaniał je przed zimnymi podmuchami. Zwykle tata nosił wtedy brązową kurtkę z kożuszką, a na głowie czapkę w kratkę zakrywającą czerwone od mrozu uszy. Buty miał już mocno znoszone. Mama tłumaczyła mu, że przecież kupiła inne, ale on lubił te stare. Zmieniłby je dopiero wtedy, gdyby nie można już było chodzić w tych. Zmęczenie po pracy dawało się mocno we znaki, ale tata miałby wyrzuty sumienia, gdyby nie wyszedł z dziećmi chociaż na godzinę, tak mało czasu spędzali razem... Zimą szybko robi się ciemno. Gdy zapadał zmrok, trudno było uświadczyc latarnię, która oświetlałaby drogę. Pochylony ojciec ciągnął więc sanki, potykając się na nierównej drodze, dopingowany okrzykami dzieci: „Szybciej, tata, szybciej!”.

Latem z kolei rodzice zabierali młodzież samochodem na krótką wycieczkę. Nie za daleko, na ogół do pobliskiego lasu. Już nawet nie chodziło o brak funduszy na dalsze wyprawy po kraju, bo pewnie wyciągnęliby jakieś zaskórniaki, problemem był czas. Tym bardziej dzieci cieszył nawet wypad za miasto na piknik. Jan doskonale pamięta, jak mama rozwijała z papieru gotowane jajka, pomidory, chleb, w ustach poczuł słodkawo-cierpki smak kompotu z rabarbaru. Ileż radości było, gdy młodzi Szumańscy znaleźli poziomki. Wtedy nikt przecież nie myślał o zwierzętach leśnych, których odchody pozostawione na owocach mogą prowadzić do groźnych chorób. „No i ten spacer po golińskim parku i wspólne zbieranie kasztanów” – myśli

Jan, podpierając głowę ręką. Przybliża się do brudnej szyby wagonu. Promienie słoneczne polskiego lata otulają jego twarz, zmuszając go do zmrużenia oczu. „To były szczęśliwe chwile, ale nasze życie składa się właśnie z takich momentów”.

Szumańscy mieli wtedy adlera. Był to niemiecki samochód z otwieranym dachem. Fabryka Adlerwerke przed wybuchem II wojny światowej oprócz samochodów rozwinęła produkcję skuterów, motocykli i, co stanowi ciekawostkę, maszyn do pisania oraz rowerów. Pojazd miał już swoje lata, ale wciąż budził podziw i zazdrość, bo na polskich ulicach takie auto trudno było zobaczyć. Oczywiście miał swoje wady, wyładowywał się w nim akumulator. Rozruch silnika nie był łatwy – kręciło się korbą z przodu samochodu. Za każdym razem, gdy to się działo, reakcje starszego i młodszego pokolenia wyglądały zgoła odmiennie. Rodzice kręcili głowami w geście bezradności, że „znowu to się stało”, dzieci wręcz przeciwnie – cieszyły się. To zawsze była frajda pomóc tacie kręcić korbą, żeby auto ruszyło.

Niestety, nie wszystko układało się pięknie. Kiedy Jan stracił mleczne zęby, szybko się okazało, że górne dwójki nigdy mu nie wyrosną. Przez całą szkołę podstawową był więc szczerbaty. Utrudniało mu to wymowę. Sepleniał. Wysoki, lekko przygarbiony, z dużymi i odstającymi uszami, stał się ofiarą żartów tych, którzy lubili znęcać się nad słabszymi. Szczególnie w ostatnich kilku latach nauki, gdy na początku roku szkolnego do klasy dołączył niejaki Kazimierz, chłopak starszy od Jana i jego rówieśników. Po raz kolejny powtarzał klasę z powodu złych stopni. Jego siostra wcale nie była lepsza. Niczym Bonnie i Clyde tworzyli sadystyczny duet. Wprawdzie nie rabowali banków, ale za to pastwili się nad słabszymi. Lubili dominować także i nad Janem. Wyśmiewanie i wyzywanie na przerwach to najmniejszy wymiar niezasłużonej kary. Najgorsze działo się, gdy chłopak wychodził ze szkoły. Niemal codziennie na niego czekali, by za rogiem spuścić mu łomot. Było to sprytne zagranie z ich strony. Wiedzieli, że w szkole ich niegodziwe zachowanie mogło zostać zauważone przez nauczycieli. Grono pedagogiczne w tamtych czasach miało poważanie. Koledzy z klasy bali się stawać w obronie Jana, a często nawet dołączali do Kazika, „bo się po prostu bali”. W każdym towarzystwie musiała być jakaś czarna owca.

Przez to Jan zamknął się w sobie. Nie skarżył się nikomu, bo było mu zwyczajnie wstyd. Wiedział, że sam musi dać sobie z tym radę, a że mu to nie za bardzo wychodziło... Wydarzenia te odbiły się na jego psychice i charakterze. Stał się zacięty, uparty i wrażliwy na wszelką krytykę. Na siłę szukał przyjaźni, co zwykle źle się kończyło, bo druga strona wykorzystywała jego pragnienie bliskości. W efekcie stawał się nieśmiały i coraz ostrożniejszy. Niechętnie obdarzał zaufaniem nowych znajomych. Jedy-nymi prawdziwymi przyjaciółmi byli kuzyni. To z nimi spędzał większość wolnego czasu. Oni go akceptowali i rozumieli. I oczywiście Ola... Tylko z młodszą siostrą nie nawiązał dobrego kontaktu. Trudno to nazwać niechęcią. Po prostu dziewczyny miały inny świat i jak często zdarza się w przypadku trójki rodzeństwa, jedna z osób bywa trochę odsunięta. „Nie oznacza to przecież, że się nie kochaliśmy, wręcz przeciwnie!” – protestuje w myślach Jan i rozgląda się po przedziale trochę zawstydzony. Czy powiedział to na głos? Chyba nie. Wiesia dalej śpi, żaden z pozostałych współpasażerów nie patrzy w jego kierunku. Mężczyzna może więc wrócić do wspomnień. W wielu różnych konfliktowych sytuacjach między rodzeństwem trzeba było stanąć po którejś ze stron. Takie życie. Jan zwykle opowiadał się po stronie Oli. Młodsza Grażyna często musiała sobie radzić sama. To rodziło nieporozumienia. „Dziś trochę mi wstyd. Przykre to w sumie” – zauważa i przypomina sobie pewne zdarzenie. Bawiąc się w kuchni, stłukł filizankę. Szybko wepchnął skorupy pod kredens. Ukrycie przestępstwa jednak mu nie wystarczyło. Poszedł do mamy i... winę zrzucił na młodszą siostrę. Grażyna oberwała klapsa w tyłek, a gdy się broniła, mówiąc, że to nie ona, kara została wymierzona po raz drugi. Tym razem za kłamstwo. „Niestety, dzieci nie są sprawiedliwe. Wielokrotnie nie myślą o konsekwencjach, często są samolubne. To cały czas nauka, a nasi rodzice są tymi, którzy starają się przekazać nam najważniejsze wartości. Od nich częściowo zależy, kim będziemy, ale nie ma co się oszukiwać. Na koniec to my jesteśmy budowniczymi naszego charakteru. To my stajemy się odpowiedzialni za nasze postępowanie i naszą przyszłość. Nieraz nawet ci, co kochają, nie zdając sobie z tego sprawy, popełniają błędy, które mogą kogoś skrzywdzić” – uświadamia sobie Jan.

Kiedyś słuchał płyty, którą rodzina Szumańskich otrzymała z „tej wielkiej Ameryki”. Takie prezenty były rarytasami, więc traktowało się je

z należytym szacunkiem. Na czarnym krążku znajdowały się utwory wykonywane przez zespoły amerykańskiej Polonii, a wśród nich piosenka, której refren mniej więcej brzmiał następująco: „Pukaj tu, pukaj tam”. Pewnego razu, słuchając owego utworu, Jan śpiewał do wtóru, a że głos miał bardzo niski, w jego wykonaniu brzmiało to co najmniej komicznie. Nie zauważył, jak mama weszła do pokoju. Posłuchała, a potem zaczęła się śmiać i śpiewać refren, naśladując głos syna. Później przypominała tę sytuację kilkakrotnie, także podczas spotkań ze znajomymi. Był to ostatni raz, kiedy Jan zaśpiewał.

Co zwykle robi człowiek bez przyjaciół? Szuka jakiegoś zajęcia, które wypełniłoby mu czas. Jan znalazł sobie własny świat – książek i filmów. To tam szukał miejsc, które nie znały jego wad. Ten świat go nie osądzał, nie bił jak szkolni koledzy, nie oceniał jego wyglądu, nie krytykował i nie sprawiał przykrości. To właśnie lektury i historie przedstawione w filmach sprawiały, że choć był zamknięty w sobie, jego umysł miał się na czym skupić, a wyobraźnia pracowała. Zaczął też zbierać znaczki i pocztówki. Pociągały go zwłaszcza podróże. Mieszkając w komunistycznym kraju, miał szansę w przyszłości przy dobrych wiatrach odwiedzić inne bratnie socjalistyczne kraje. Zachód był czymś niedostępnym, zakazanym, ale właśnie dlatego tak dobrze smakował. Dzięki książkom podróżniczym Jan poznawał różne państwa i uczył się ich historii. Wspinał się w marzeniach po górach, wędrował rosyjską tundrą, mieszkał z rdzenną ludnością w brazylijskiej dżungli. Kolekcja pocztówek też była pokaźna. Wiele widokówek – tych ulubionych – pochodziło z USA. Tak też zaczęła się fascynacja Stanami Zjednoczonymi. Miłość od pierwszego wejrzenia.

W szkole średniej Jan się zmienił. Następowala przemiana z dziecka w młodego człowieka. Dostał się do technikum elektryczno-mechanicznego w Koninie. Nowe środowisko, nowi znajomi. Postanowił nie dać się poniżyć. Ten, kto tego próbował, dostawał cios prosto w twarz. Brutalne, ale pomogło. Największą jednak zmianą było znalezienie prawdziwego przyjaciela.

Grzegorz zjawił się w szkole kilka dni później niż inni uczniowie. Podczas przerwy stał samotnie na korytarzu. „Coś kazało mi podejść do niego i tak zaczęliśmy rozmawiać” – wspomina Jan. W tamtej chwili narodziła

się przyjaźń i trwa ona do dziś. Razem przeżywali wszystkie najważniejsze momenty w czasach licealnych. Łączyła ich między innymi pasja do muzyki. Chodziło nie tylko o słuchanie tych samych gatunków czy zespołów. Często też wpadali do innych szkół na wieczorki taneczne. To był także okres wzrastającego zainteresowania dziewczynami. Przyjaciele nie powinni wchodzić sobie w drogę w tej kwestii, ale bywało różnie...

Uczniowie ze szkoły, do której chodził Janek, byli bardzo zaprzyjaźnieni ze swoimi rówieśnikami z liceum w Morzysławiu. To właśnie tam ekipa z Konina chodziła na zabawy. Nie bez przyczyny. W jednej z tamtejszych klas były wyjątkowo ładne dziewczyny. Grzesiek jedną z nich poderwał. Krysia została później jego żoną. Była też Jola, która obdarzała zainteresowaniem wielu chłopaków z klasy Jana. „Nie mam pojęcia, czy robiła to celowo, czy szła na żywioł”. Zawsze nurtowało go to pytanie. Pojemne serce koleżanki i jej zmienność prowokowały sporo konfliktów. Potrafiła związać się z jednym na kilka miesięcy, by zerwać i zacząć spotykać się z kumplem swojego byłego. Historia często się powtarzała. Szumański był czwarty w kolejce. Porzuceni łączyli się w złości na nowego chłopaka Joli, ale nie ciągnęło się to długo. Prędzej czy później także i nowy szczęśliwiec stawał się ich kolegą w cierpieniu. Trwało to do końca szkoły średniej, gdy wszyscy już przyzwyczaili się do tej sytuacji i nikt nie podnosił ręki na drugiego w geście zazdrości. Tyle zwykle zostawało z męskiej żelaznej zasady, że „dziewczyna mojego przyjaciela nigdy nie będzie moją dziewczyną”.

W ciągu tych kilku lat żadne podboje miłosne nie skłóciły Jana z Grzegorzem na dobre. Odkryli w sobie żylkę do organizowania własnych imprez. Cieszyły się one dużą popularnością. Obaj byli lubiani i szanowani. Z nieśmiałego i wyśmiewanego dziecka w ciągu zaledwie kilku lat Szumański stał się duszą towarzystwa i ważną osobą w klasie. W technikum nagle zmienił swoje nastawienie do życia. Odwaga czasem stawała się matką brawury. Chłopcy często wpadali w różnego rodzaju tarapaty. Zawsze razem. W ten sposób mama Jana poznała ojca Grzegorza. Nieraz zdarzało się, że byli razem wzywani do szkoły, by przyjąć skargę na wybryki swoich coraz starszych latorośli. Ich rozmowy wyglądały zawsze podobnie:

– Dzień dobry, pani Szumańska.

- Pan Wasilewski, witam!
- Została pani wezwana w sprawie syna?
- Tak, a pan?
- Oczywiście. Oni zawsze razem! - Nerwowemu śmiechowi towarzyszył z reguły grymas niepokoju na twarzy. Nigdy bowiem dorośli nie wiedzieli, co nastolatkiwie przeskrobali. Nierzadko trzeba się było gęsto tłumaczyć, ale rodzice zawsze stawali w obronie synów.

Tata Grzegorza był kimś znacznie więcej niż tylko rodzicem. Starał się stać przyjacielem syna, a tym samym także Jana. Mogli się do niego zwrócić z każdym problemem. Grzegorz mieszkał w powstałych po wojnie blokach. Nie było tam strychu czy werandy. Spotkania odbywały się w pokoju gościnnym, przy dużym okrągłym stole. Rozmawiało się więc o wszystkim - o ostatnich wydarzeniach i problemach osobistych. Bywało poważnie, ale czasem i śmiesznie. Janek często opowiadał kawały, a że miał do nich pamięć, był w tym naprawdę dobry. Potrafili w ten sposób w trójkę przegadać cały dzień. Pan Wasilewski miał z nimi naprawdę dobry kontakt. Wszyscy grali na gitarach, lubili też śpiewać - oprócz Janka, który nigdy nie zapominał, jak go wyśmiała mama przed laty. Szumański i jego ekipa należeli do stowarzyszenia „Drapichrustów”. Chodzili na organizowane przez ruch rajdy po okolicznych terenach. To były dobre czasy. Zwiedzali różne ciekawe miejsca, organizowali biwaki, ogniska, były bigos, kompot, śpiewy... Nieraz ojciec Grzegorza miał przy sobie „piersiówkę” z alkoholem. Przyjaciele mogli wypić po jednym kieliszku. Wasilewski zawsze powtarzał, że lepiej, gdy dostaną trochę od niego, niż wypiją butelkę po kryjomu. „To był okres, który przyniósł mi najwięcej radości” - wspomina teraz Jan przy dźwiękach pędzącego pociągu.

Dzień osiemnastych urodzin Szumańskiego. Był sierpień 1973 roku. W klasie Jan miał kolegę, którego nazwisko różniło się tylko jedną literą - Bolka Szymańskiego. Przyszli na świat w tym samym dniu. Takiej okazji do zabawy i świętowania nie można było przepuścić. Chłopcy postanowili uczcić te tak ważne urodziny w domu Bolka i jego rodziców w Gnieźnie. Do odległego o pięćdziesiąt pięć kilometrów miasta Szumański dojechał autobusem. Bez pomocy mapy odnalazł właściwy adres. Typowa polska szara kostka z dwoma oknami od frontu, ale co własne, to własne. Nacisnął na dzwonek, po chwili drzwi otworzył Bolek. Przez

dziewczyny był uważany za najprzystojniejszego w klasie – bujne blond włosy, zawsze zadbane, średniego wzrostu. Do tego zwykle uśmiechnięty i wiecznie uczynny.

– No cześć, stary – rzucił z radością na widok kolegi.

– Najlepszego!

W oddali w kuchni Janek dostrzegł mamę Bolka.

– Dzień dobry pani. – Ukłonił się.

– Witaj, mój drogi. Wszystkiego dobrego z okazji urodzin!

– Dziękuję!

– Jak się czujesz jako dorosła osoba?

– Pewnie tak samo jak Bolek. – Nastolatkowie spotkali się wzrokiem, w oczach dał się zauważyć błysk. Mama zrozumiała. Panowie chcieli zostać sami. Z uśmiechem uniosła rękę w geście pożegnania.

Świeżo upieczeni osiemnastolatkowie poszli na piętro do pokoju Bolka, przeskakując po dwa schody.

– Patrz, co mam! – wykrzyknął Bolek. Na małym stoliku stały polska wiśniówka i dwa kieliszki. Przesiedzieli przy niej kilka godzin – do chwili, gdy opróżnili butelkę. Potem w doskonałych humorach wyszli z domu na poszukiwanie restauracji, w której mogliby kontynuować świętowanie urodzin. Zdecydowali się na Parkową, choć jej jarzący się żółtym światłem neon nad drzwiami wejściowymi najlepsze lata miał już za sobą. Część liter już nawet nie świeciła, inne leniwie migotały, jakby znudzone brakiem mocnych wrażeń. Na nie można było liczyć zwykle w weekend. Alkohol lał się wtedy strumieniami, z talerzy błyskawicznie znikła zagrycha – ogórek, śledzik w śmietanie... A na koniec dla przetrzeźwienia zwykle kawa w szklankach. Ściany knajpy chłoneły plotki i miłosne wyznania stałych bywalców lokalu.

Chłopcy zasmakowali w wiśniówce. Schludnie ubranego kelnera z podwiniętymi rękawami poprosili o całą butelkę. Jan pamięta, że mężczyzna wciąż odrzucał na bok ruchem głowy przydługą, przyprószoną siwizną grzywkę. Gdy wrócił z trunkiem, odprowadzili go wzrokiem, jakby chcieli dać do zrozumienia, że teraz ma nie przeszkadzać, bo to ich czas. Koniec końców nie pamiętali potem, ile wypili, ale trzymali się twardo – bynajmniej nie na nogach, za to konsekwentnie jednego trunku.

Do domu Bolka wrócili bardzo późnym wieczorem. Tam czekała na nich mama chłopaka. Na ich widok powitalny uśmiech szybko zniknął z jej twarzy. Obaj wyglądali naprawdę źle. Byli kompletnie pijani. Bolek dostał po głowie, a Jan został wyproszony, musiał wracać do własnego domu. „W sumie nawet nie pamiętam, jak do niego dotarłem” – zastanawia się teraz Jan i wraca do teraźniejszości. Do Warszawy już niedaleko. Znowu ogarnia go niepokój. Wkrótce trzeba będzie rozpocząć walkę o nowe życie. Trochę go to przeraża, ale klamka zapadła. Nie ma wyjścia. Patrzy na żonę. Nie śpi. Uśmiecha się do niego, ale Jan w jej oczach dostrzega podobny lęk.

Myśl znowu ucieka mu w przeszłość. Gdy wrócił w końcu do domu ze swojej osiemnastki, szybko, chowając się przed rodzicami, znalazł się w swoim łóżku. Była już noc. Miał szczęście, że spali. Liczył, że rano wstanie wypoczęty, jak gdyby nic się poprzedniego dnia nie działo. Nie było mu to jednak dane.

– Wstawaj. Późno już, rusz się. Trzeba się szykować do kościoła – powiedziała matka wcale nie za głośno, ale o tej porze po takim wieczorze każdy dźwięk sprawiał, że Jan cierpiał katusze. Fakt – była niedziela. Zapomniał o tym. Głowa pękała z bólu, w gardle pustynia. Kac. Potężny kac. „Naprawdę musieliśmy wtedy sporo w siebie wlać. Koledzy, którzy wcześniej potrafili wypić ponad pół litra alkoholu na głowę, następnego dnia czuli się jak młodzi bogowie. W tej wiśniówce z restauracji musiało być coś dziwnego...” – Jan kręci teraz głową przy akompaniamencie stukotu kół pociągu.

Na trzęsących się nogach dotarł w końcu do wypełnionego wiernymi kościoła. W środku było bardzo duszno, dlatego wyszedł na zewnątrz. Nie wzbudziło to żadnych podejrzeń. Wiele osób wołało podczas mszy przebywać na dworze niż w zaduchu wewnątrz. Z tyłu budynku były duże drzwi. Jan stanął z boku, opierając się o nie. Każda kolejna minuta była koszmarem. Na dworze na szczęście nie słyszał dźwięku organów. W jego stanie byłoby to nie do wytrzymania. Dzielnie trwał niemal do końca. Wydawało się, że przetrzyma, ale poległ zupełnie, gdy ksiądz zaczął rozdzielać... komunię świętą. Wcześniej kapłan podniósł kielich z winem i powiedział:

– Pijcie z niego wszyscy!

Tego było za wiele. Kiedy Jan to usłyszał, wyobrażenia zadziałała. Zwymiotował przy drzwiach, przy których stał. Choć od tego dnia minęło

już wiele lat, widok i zapach wiśniówki do dziś powoduje u niego natychmiastową reakcję. Nigdy więcej po ten trunek nie sięgnął.

Żadna szkoła nie była jego ulubionym miejscem. Każdą traktował jako obowiązek, który po prostu trzeba spełnić. Nauka zwykle schodziła na dalszy plan. Do pracy brał się dopiero wtedy, gdy pojawiała się groźba obławiania jakiegoś przedmiotu. Ściąganie na lekcjach Jan wzniósł na wyższy poziom. Trzeba to było rozsądnie zorganizować, a że tu najważniejsi byli dobrze przygotowani do lekcji koledzy, dopilnował, by siedzieć w ławce z jednym z lepszych uczniów. Rysiu podczas klasówek często był kopany, czasem otrzymywał kuksańca w plecy. Nieraz słyszał, jak Janek cedzi przez zęby: „odsuń się!”. Robił to, a wtedy kolega mógł spokojnie spojrzeć na jego wyniki i dokonać ewentualnych poprawek u siebie. Koledzy nie mieli z Szumańskim łatwo, a Grzesiu miał jeszcze gorzej niż Rysiu.

– Grzechu, dawaj okulary – szeptał Janek błagalnym tonem. Dzięki nim mógł widzieć więcej, a jego najlepszy przyjaciel musiał pisać sprawdziany bez nich.

W przerwach między lekcjami zdarzało się im wyskakiwać do pobliskiego baru na piwo. Ku ich początkowemu zaskoczeniu czasem zjawiali się tam również nauczyciele. Nie po to, żeby samemu wyluzować się przed kolejnymi czterdziestoma pięcioma minutami pracy. Na pewno się połapali, że uczniowie tam zaglądają podczas przerw, i sprawdzali zachowanie podopiecznych. Młodzież zawsze wtedy wpadała w popłoch. „Belfer!” – wykrzykiwał ktoś i wszyscy próbowali się ukryć. Te kilka nerwowych minut jawiło im się jako wieczność, a serce próbowało wyskoczyć z niejednej piersi. Na strachu się jednak kończyło. Na niekorzyść nauczycieli działał czas, musieli wszak punktualnie rozpoczynać kolejną lekcję. Uczeń zaś zawsze mógł się trochę spóźnić pod pretekstem, chociażby, konieczności skorzystania z toalety, „a przecież kolejka była, pani profesor rozumie”.

W technikum wszyscy zaczęli palić papierosy. Bardziej towarzysko niż nałogowo. Raz Janka przyłapano na tym w ubikacji. Mama po raz kolejny została wezwana do szkoły. Wróciła zdenerwowana. Natychmiast wzięła go na rozmowę.

– Ty palisz papierosy?

– Mamo, to nieprawda. Kolega był ze mną i palił. Kiedy wszedł nauczyciel, Antek poprosił mnie, bym wziął peta od niego, bo on już miał

wpadkę i wiedział, że kolejna mogłaby się dla niego dużo gorzej skończyć. Pomogłem mu i dlatego mnie oskarżono. Ratowałem mu tyłek!

Anna uwierzyła. Do szkoły wróciła, by walczyć o dobre imię syna.

Latem dorosły już Janek lubił jeździć na plażę nad Jeziorem Pątnowskim w Koninie. Nieosłonięte brzegi oraz rozległy obszar sprzyjały wiatrom, a to przyciągało amatorów sportów wodnych. Akwen stanowił dodatkowo część układu chłodzenia pobliskiej elektrowni. Dzięki temu jezioro przez cały rok było podgrzewane, a to doskonale wpływało na rozwój różnych gatunków ryb. Były i amury, i tołpygi, sandacze, karpie, leszcze. Nic dziwnego, że często widywało się tu wędkarzy. Dla Janka to była nuda. Wolał odpoczywać na plaży z książką w ręce. Odpływał wtedy w świat, o którym marzył.

Nad jeziorem pojawiała się też często prześliczna blondynka. Za każdym razem, gdy ją widział, bacznie się jej przyglądał, ale był zbyt nieśmiały, żeby do niej tak po prostu podejść. Paraliżował go lęk przed ewentualnym ośmieszeniem. Nie sądził, by kiedykolwiek dane mu było ją poznać. Ale życie napisało dla niego inny scenariusz...

Janek poszedł na przyjęcie do koleżanki dziewczyny Grzegorza, swojego przyjaciela. Po rozpoczęciu imprezy do pokoju weszła jej siostra. „No nie może być...” – pomyślał, robiąc wielkie oczy. To była ona, śliczna blondynka z plaży przy jeziorze. Zabawa się rozkręcała, na stole pojawił się też alkohol. To on dodał Janowi odwagi, by włączyć się do rozmowy w grupie, w której brylowała ona. Okazało się, że na imię ma Justyna. Od razu przypadli sobie do gustu. Odwzajemniła jego zainteresowanie. Wkrótce potem zaczęli ze sobą chodzić.

Kolejne tygodnie mijały szybko. Nadszedł sylwester 1973 roku. Koledzy załatwili zabawę w ośrodku elektrowni w Koninie. W pakiecie były także pokoje noclegowe. „Już sama myśl, że będę z moją dziewczyną sam na sam przez całą noc, nie pozwalała mi spać przez wiele kolejnych dni” – wspomina Jan, siedząc w pociągu relacji Koszalin–Warszawa z ciężarną żoną obok. „Dobrze, że ona nie wie, co mi się teraz przypomniało”. Wraca do wydarzeń sprzed ośmiu lat. Sylwester w Koninie. Janek nie stronił od alkoholu. Po północy wszyscy biesiadnicy złożyli sobie życzenia. Potem wyraźnie zmęczony zabawą Jan udał się z Justyną do pokoju. Nadszedł wreszcie moment, przez który nie potrafił zmrużyć oka w ostatnim czasie.

Zaczęli się całować. On zdjął koszulę, ona bluzkę. Położył głowę na jej piersiach i... zasnął. W Nowy Rok, zażenowany sytuacją i swoim zachowaniem, szybko wymknął się z pokoju. Chociaż Justyna nie miała ani uwag, ani pretensji, w Janku coś się zablokowało. Nie potrafił się już normalnie wobec niej zachowywać. Niedługo potem ich związek po prostu się rozpadł.

Po pięciu latach szkoły średniej przyszedł czas na studia. Wprawdzie z nieśmiałości z czasów podstawówki nie zostało niemal nic, ale pewność siebie na uczelnianych salonach przyćmiewał brak pewności co do przyszłości. Jan nadal był zagubiony w swoich marzeniach. Miał już dziewiętnaście lat i nie wiedział, czym chce się zajmować w życiu. Wyuczony w technikum zawód kompletnie go nie interesował. Wręcz przeciwnie – Janek nie lubił niczego, co było związane z elektryką i mechaniką. Wybór studiów dla siebie pozostawił więc... rodzicom. Ostatecznie wylądował w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Koszalinie. Tam wcześniej uczył się jego szwagier. Sprawdzona firma. To on namawiał na wybór kierunku o ambitnie brzmiącej nazwie: „budownictwo”, i to przy jego pomocy Jan został studentem pierwszego roku. Mąż siostry wprowadził go w towarzystwo, wskazał też to, co może być na egzaminach i, okazał pierwszorocznikowi wsparcie psychiczne.

Dzięki szwagrowi Jan szybko poznał wielu starszych kolegów. Błyskawicznie też wciągnął się w działalność różnych studenckich organizacji. Pracował między innymi w klubie studenckim Kram jako tak zwany bramkarz. Kram był centrum uczelnianego życia. Urządzony w piwnicach akademika numer jeden, cieszył się dużą popularnością wśród młodych ludzi z Koszalina. Zawsze było tu tłoczno i nie każdemu udało się dostać na zabawę. Brać studencka nie ograniczała się jedynie do organizowania dyskotek. W czasie Tygodnia Kultury Studenckiej, który później zastąpiły słynne juwenalia, organizowano kabareton, czyli spotkania kabaretów, koncerty z udziałem zespołów muzycznych i spotkania z interesującymi ludźmi. Do tego na przykład zawody w spływie po Dzierżęcince, rzece płynącej przez Koszalin. Zasady były proste – można było pływać na wszystkim... oprócz łódek. „Pamiętam jednego, który płynął na muszli klozetowej przymocowanej do desek”. – Janek uśmiecha się na wspomnienie tamtych chwil.

Nic dziwnego. Studia w czasach komunistycznych były dla młodych ludzi rajem. Oczywiście wszystko zależało od kierunku, ale w wypadku Janka nauka traktowana była jako czynność poboczna. Liczyła się głównie zabawa. Miał nawet kilku kolegów, którzy specjalnie przedłużyli swoje studia o parę lat, nie zdając egzaminów. Bez problemu można było powtarzać rok. Brzmiało to przerażająco, ale już zdecydowanie mniej, gdy okazywało się, że przecież chodzi o zaledwie jeden przedmiot... Wszystko po to, żeby maksymalnie wydłużyć okres studiowania. Nikomu nie spieszyło się do ukończenia uczelni i rozpoczęcia pracy. Jedyne zmartwienie stanowiły pieniądze. Na szczęście możliwości znalezienia dorywczego zajęcia nie brakowało. Była przecież studencka spółdzielnia pracy. Tam zgłaszały się różne zakłady szukające młodych ludzi do rozmaitych robót: przy przeładunkach wagonów, malowaniu budynków, kreśleniu planów budowlanych i tak dalej. A Janek do tego otrzymał stypendium. Zakłady Budowlane w Koninie zapewniły mu pomoc finansową na czas studiów, choć był warunek – po ich ukończeniu musiał dla nich pracować przez jakiś czas. Najlepszą metodą na zdobycie większej kasy był jednak wyjazd na Zachód w czasie wakacji. Tutaj trzeba było się nie tylko dobrze zakręcić, lecz także stanowiło to spore ryzyko. Szumański dobrze sobie radził. Pracował w Berlinie Zachodnim. Każdy wyjazd zaczynał się jednak pechowo.

Rok 1979. Jankowi udało się dostać paszport. Postanowił zaryzykować. Najpierw wybrał się do Berlina Wschodniego, w którym spotkał się z Anią. Koleżanka mieszkała tam podczas wakacji. Zakrapiana alkoholem wizyta nie mogła jednak zakończyć się tego samego dnia... Janek został na noc. Kolejnego dnia próbował przejść granicę do Berlina Zachodniego.

– Człowieku, czego tu szukasz? – odezwał się nieprzyjemnym tonem jeden z celników na przejściu granicznym. Szumański nie spodziewał się życzliwości ze strony tych ludzi; słyszał wiele historii o tym, że nienawidzili Polaków za to, iż w przeciwieństwie do nich mogą podróżować. Tamten spojrzał na paszport Janka i zaczęły się kłopoty. Chłopak miał wizę tranzytową ważną zaledwie przez dwadzieścia cztery godziny. Po tym czasie powinien opuścić NRD.

– Zjeżdżaj stąd, młody, chyba że chcesz mieć kłopoty – stwierdził celnik.

Jan wpadł w panikę. „Cholera jasna, co tu teraz zrobić? Dokąd mam wrócić?” – myślał, wlokąc się z powrotem do mieszkania Ani. Tam zrobił sobie herbatę i usiadł na łóżku. Przed sobą miał okno, z którego w oddali widać było Berlin Zachodni. „Jak się tam dostać? – dumał. – Może pomogą polskie władze? Trzeba spróbować”. Poszedł do polskiej ambasady, która mieściła się przy ulicy Unter den Linden. Plakaty z żubrami, wizerunki polskich miast i urokliwe krajobrazy zdobiły ogrodzenie. „To musi być to”. Wkrótce jego oczom ukazała się też polska flaga. Budynek typu Lipsk przypominał te, które w Polsce lat siedemdziesiątych rosły jak grzyby po deszczu. Ich pierwowzory powstawały właśnie tu, w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Wszędzie ta sama stalowa konstrukcja, podobny układ korytarzy i znane Jankowi elewacje wypełnione panelami z hartowanego i barwionego szkła. Spotkać je można było w różnych odcieniach niebieskiego, czasem mieniły się na zielono. Pojawiały się też ceglane i rude. Był to dla niego miły swojski akcent. Miał nadzieję, że urzędnicy ambasady pomogą rozwiązać jego problem, ale się przeliczył. „Pan złamał prawo przejazdu. Nie możemy panu pomóc”. – Usłyszał tylko. To była ostatnia deska ratunku. „I co teraz?” Przemierzając ulice w drodze powrotnej, widział mnóstwo trabantów i wartburgów. W Polsce też się pojawiały, ale jednak u nas dominowały już wtedy małe i duże fiaty oraz syreny. W Czechosłowacji z kolei... „Czechosłowacja! Eureka!” To był szalony pomysł. Janek nie miał pojęcia, czy to się uda. Wiele ryzykował, ale nie miał innego wyjścia. Pożegnał się z Anią i kupił bilet do Pragi. Wiza tranzytowa nie obowiązywała między krajami socjalistycznymi. Spojrzał na bilet. Miejsce dwudzieste ósme w wagonie numer dwa. Dziarsko poderwał się i zszedł na peron. Tam już czekał pociąg do Czechosłowacji. Droga przebiegała dosyć leniwie. Naprzeciwko niego siedzieli rodzice z dwójką dzieci. Pewnie jechali na wakacje. Obok niego, przy oknie, młoda dziewczyna w zwiewnej koronkowej spódniczce i białej bluzeczce, ze sfatygowaną książką w ręce. Tytuł trudno było odczytać. Chował się za palcem wskazującym posiadaczki i folią ochronną. Janek z ciekawością obserwował współpasażerów. Na granicy niemiecko-czechosłowackiej wsiedli celnicy z NRD. Po kolei prosili wszystkich o paszporty. Gdy nadeszła kolej na niego, zapytali:

– Dokąd jedziesz?

- Do kolegi w Pradze.
- Ile masz pieniędzy?
- Nic nie mam. Kolega zapewnia mi utrzymanie.
- Gdzie walizka? - Rozejrzeli się podejrzliwie.
- Nie mam nic. Jadę tylko na jeden dzień.

Bardzo ich to zaciekawiło, ale Jan naprawdę niczego przy sobie nie miał. Zostawili więc go w spokoju.

W Pradze natychmiast kupił bilet na pociąg powrotny do Berlina Wschodniego. Kombinował, że dzięki temu otrzyma nową pieczętkę przekroczenia granicy z Niemcami i tym sposobem zmieści się w wymaganych dwudziestu czterech godzinach. Na granicy czechosłowacko-niemieckiej sytuacja się powtórzyła. Do wagonu wsiadli... ci sami celnicy. Gdy podeszli do Janka, nie kryli zaskoczenia.

- Dokąd jedziesz? - Ponownie padło pytanie o cel wyjazdu, ale tym razem ton już był zdecydowanie bardziej podejrzliwy.

- Do Berlina. Muszę wrócić, bo kolega się nie zjawił, a ja nie miałem żadnych pieniędzy i innych rzeczy, żeby gdziekolwiek się zatrzymać. Wracam do znajomych w Berlinie.

Nie uwierzyli. Czuli, że coś jest nie tak. Przedział, w którym siedział Janek, przewrócili do góry nogami, pozostawiając po sobie bałagan. Byli przekonani, że coś przemyślał. Podczas przeszukania przeklinali soczyście pod nosem. Niczego oczywiście nie znaleźli. Zmierzyli go wzrokiem i odeszli bez słowa. Kiedy pociąg odjeżdżał, stali ustawieni przy oknie przedziału Szumańskiego, bacznie mu się przyglądając. Chyba wciąż się zastanawiali, co i jak przewoził. Dalsza podróż minęła w całkowitej ciszy. Współpasażerowie chyba woleli się do Janka nie odzywać. Skoro przeszukiwali go celnicy, widocznie mieli ku temu powód. Ludzie wokół unikali nawet kontaktu wzrokowego. Jana to nie wzruszało, bo wszystko wskazywało na to, że jego plan wypali. W Berlinie natychmiast udał się na granicę i bez problemu przeszedł do Berlina Zachodniego. Sytuacja została opanowana.

To była dopiero pierwsza przygoda. Zawsze tym wyjazdom towarzyszyły jakieś problemy. Rok 1980, wakacje, tydzień przed wyruszeniem w podróż. Janka rozboleł ząb. Poszedł do dentysty w Koszalinie, ale stomatolodzy w tamtych czasach bardziej przypominali szalonych naukowców, którzy swoich pacjentów traktowali jak króliki doświadczalne, niż

profesjonalnych lekarzy. Wielu kolegów Janka w ogóle nie miało odwagi, by chodzić do dentysty. Zdarzało się nawet, że sami sobie wyrwali zęby. Nierzadko długo siedzieli w poczekalni, a kiedy nadchodziła ich kolej, tchórzli i uciekali. Janek jednak nie zrezygnował. W gabinecie usłyszał, że sprawa jest na tyle skomplikowana, iż leczenie wymaga kilku wizyt i zajmie zdecydowanie więcej niż tydzień. Chłopak podjął błyskawiczną decyzję.

– Pani go wyrwie – zażądał.

To był błąd... Podczas rwania dentystka prawie siedziała Jankowi na kolanach. Ząb nie chciał wyjść. Lekarka szarpała nim w lewo i w prawo, a Szumański czuł, że zaraz zemdleje. Po kilkunastu minutach, które trwały wieczność, pani doktor w końcu się udało. Ból był jednak tak silny przez kolejne dni, że Jan musiał rozdrabniać jedzenie, bo nie dawał rady gryźć. Do wyjazdu zostało tylko kilka dni. Wrócił do tej samej stomatolożki. Po obejrzeniu rany po wyrwanym zębie otworzyła ją na nowo. Nie minęła chwila i wyciągnęła stamtąd... kawałek kości. Okazało się, że wyrrywając Jankowi zęba, połamała mu szczękę, a ten odłamek był właśnie jej częścią!

Ból nie ustawał do dnia wyjazdu. Chłopak nie zamierzał jednak z niego rezygnować. Stale towarzyszyły mu tabletki przeciwbólowe. W takim stanie wyjechał do Niemiec. Pierwsze co zrobił po wynajęciu mieszkania, to poszedł do łazienki z nożem kuchennym. W lustrze zobaczył opuchniętą twarz. Drżącą ręką otworzył ranę. Wyciągnął jeszcze większy kawałek kości niż dentystka. Nie mając większego wyboru, załat wszystko wodą utlenioną, łyknął środek usmierzający ból i poszedł spać. Następnego ranka obudziły go wprawdzie dolegliwości, ale zdecydowanie mniej intensywne niż jeszcze kilka godzin wcześniej. Z każdą kolejną godziną następowała poprawa. Pod wieczór Jan uznał, że jest wyleczony. I faktycznie dolegliwości nie wróciły.

Pierwsze trzy lata studiów to był czas spędzany na wszystkim oprócz nauki. Do książek zaglądało się jedynie w krótkich przerwach między jedną imprezą a drugą. Wystarczało to, by zdawać egzaminy, ale o stypendiach naukowych należało zapomnieć.

Był rok 1980. Polska zaczynała się zmieniać. Ludzie budzili się z letargu, w którym tkwili przez lata, zmuszeni do tego przez komunistyczne rządy w naszym kraju. W tamtym czasie Jan uważał się za mądrego i bystrego mężczyznę wchodzącego w prawdziwą dorosłość, a tak naprawdę

on i jego rówieśnicy wciąż byli... dziećmi. Rządziły nimi instynkty i emocje, a nie rozum. Szumański jednak jako jeden z nielicznych miał jakieś pojęcie o barbarzyństwie komunistów. Wiedzę o historii czerpał z opowieści dziadka, który słuchał Radia Wolna Europa. To on przekazał wnukowi wiedzę o wydarzeniach z Katynia, torturowaniu więźniów politycznych i zaborczej polityce Związku Radzieckiego. Jan nie zastanawiał się wtedy jeszcze, czy cokolwiek można z tą wiedzą zrobić. Jednakże kiedy robotnicy zaczęli się organizować i powstała Solidarność, podjął odważną decyzję o zmianie swojego beztroskiego życia. Wszelkie zabawy zeszły na dalszy plan. Założył na swojej uczelni NZS – Niezależny Związek Studentów. Początkowo tworzyło go zaledwie kilka osób. Większość studentów nie była tym zainteresowana. Inni po prostu się bali.

Zaangażowanie Szumańskiego w organizacjach studenckich zostało szybko zauważone przez środowisko uczelniane. Dzięki temu wybrano go do komisji egzaminacyjnej, która decydowała o przyjęciu kandydatów na studia. Rola studentów była tu podrzędna, ale mieli oni wgląd we wszystkie informacje. Oprócz Jana w komisji był jego kolega Zbyszek. Postanowili, że trzeba coś zrobić, by na ich wydział dostały się... ładne dziewczyny. Przed egzaminami przeglądali zdjęcia i każdy z nich wybierał po pięć kandydatek. W ten sposób Szumański trafił na Wiesię. W dniu jej egzaminu zasnął, nie mógł się ze wszystkim wyrobić i w efekcie przyszedł na swoje stanowisko nieco później. Zbyszek już na niego czekał.

– Wybrałeś zdjęcia? – wysapał Janek, który ostatnie kilka minut przebiegł z torbą przepasaną przez ramię. Zdjąwszy ją, zdyszany oparł się rękami o kolana, spoglądając na kolegę.

– Myślałem, że już nie przyjdiesz.

Zbyszek wybrał dziesięć fotek, dla każdego po pięć. Jan postanowił jednak, że sam szybko przejrzy kartoteki. Na jednej z nich jego wzrok zatrzymał się na dłużej.

– Co jest? Ktoś wpadł ci w oko? – spytał go kumpel, ale Szumański udał, że nie słyszy.

– Co z tą? – Podsunął mu jedno ze zdjęć.

Zbyszek spojrzał, zrobił wielkie oczy i ze zdumieniem pokręcił głową.

– Cholerka, musiałem nie zauważyć – rzucił fotografię na stosik wybranych.

„To była moja przyszła żona” – Szumański ponownie wraca do teraźniejszości i spogląda na siedzącą obok niego Wiesię. Ona nie ma pojęcia, o czym podczas ostatnich godzin дума Jan. Uśmiecha się do żony z czułością.

– Co ci? – pyta cicho Wiesia, patrząc bacznie na męża. Bo dziwny ten jego uśmiech... Jakoś trochę teraz nie na miejscu. A ona dość ma już emocji i bez zaskakujących zachowań Jana. Nie chce żadnych dodatkowych życiowych fajerwerków w tym momencie.

– No co? To już do własnej żony nie można się uśmiechnąć? – Szumański puszcza do niej oko i ponownie odwraca głowę w stronę okna. Chłonie przesuające się za nim widoki. Nie wiadomo przecież, kiedy uda się słowiańską ziemię ujrzyć ponownie. „To była moja przyszła żona – powtarza w myślach. – Czasami, kiedy znajdujemy się w odpowiednim miejscu i czasie, trzeba umieć znaleźć swoje przeznaczenie, wykorzystać chwilę. Każda z nich jest wyjątkowa i może się nie powtórzyć”. Wraca do wspomnień.

Wiesia nie potrzebowała żadnej pomocy, by dostać się na studia. Była bardzo zdolna. I nie bała się egzaminów, choć ten z matematyki obrósł legendą. Starsze roczniki straszyły, że nie zdaje go połowa studentów. Na dziewczynie nie zrobiło to chyba większego wrażenia. Jan był jednym z pierwszych, którzy poznali oceny. Na drugi dzień spotkał swój obiekt zainteresowania na korytarzu uczelni. Oficjalnych wyników na tablicy ogłoszeń jeszcze nie było. Podeszedł do dziewczyny i przekazał radosną wiadomość. Przy okazji wykorzystał sytuację i spytał, czy nie zechciałaby pójść z nim na dyskotekę, żeby uczcić jej sukces. Zgodziła się, ale w domu powiedziała, że idzie na dyskotekę... z profesorem z uczelni. „Nasza znajomość zaczęła się trochę niestandardowo” – myśli teraz Jan.

Relacje między Janem a Wiesią od początku były burzliwe. Lipiec 1977 roku. Rodzina Szumańskich przyjechała na wakacje nad morze. Mieszkali w Mielnie koło Koszalina. Pewnego wieczoru zaprosili młodych na zabawę taneczną w jednym z tamtejszych lokali. Janek czekał na ukochaną przed akademikiem, w którym mieszkał, ale ona niestety się nie pojawiła. Był zły i zawiedziony. Zauważył jednak siedzącą na ławce przed budynkiem dziewczynę. Przysiadł się do niej.

– Piękny wieczór, co? – zagadnął. Chyba się trochę przestraszyła, bo od razu się odsunęła.

– A tak – mruknęła mało zachęcająco, chcąc przerwać rozmowę z nieznanym.

– Co czytasz? – Zerknął jej przez ramię. *Mistrz i Małgorzata* Michała Bułhakowa. Jedna z ulubionych książek Janka. Doskonały punkt zaczepienia, wspólny temat, który mógł uratować ten wieczór. Spojrzał na zegarek, czasu do rozpoczęcia imprezy nie zostało wiele. Wiesi wciąż nie było.

– Słuchaj, nie będę owijał w bawełnę. Moja dziewczyna się nie pojawiła, a ja mam spotkanie z rodziną na zabawie. Jeśli nie masz nic innego do roboty... Czy nie zechciałabyś pójść tam ze mną? – zaproponował.

Ona zrobiła wielkie oczy, słuchając z niedowierzaniem.

– Spokojnie, nie jest to nic zobowiązującego, a możemy się po prostu dobrze bawić – dodał. O dziwo, nie trzeba było długo jej przekonywać. W drodze do Mielnia rozmawiali o książkach, filmach, muzyce. Ona okazała się artystyczną duszą. „Pamiętam zdziwione twarze rodziców, którzy już przecież znali Wiesię, gdy wszedłem z inną dziewczyną. Nie zadawali pytań, chociaż do końca imprezy gnębiło ich, co się stało. Gdzie jest Wiesia? Kim jest ta nowa panna? O co chodzi?” – wspomina Jan. Po imprezie wrócił do akademika i zastał w pokoju kwiaty od Wiesi z notatką, że przeprasza za spóźnienie. „Bardzo mi wtedy było głupio. Na szczęście ta sytuacja szybko poszła w niepamięć”. Z nowo poznaną dziewczyną nie miał potem kontaktu. Układ był przecież prosty: on ma dziewczynę, a na imprezę idą się tylko dobrze bawić.

To jedna z tych historii pokazujących, że spotkały się dwa trudne charaktery. Każde z nich lubiło stawiać na swoim. Wzajemnie ze sobą zrywali. Najpierw to ona jego rzuciła, a on stał pod jej balkonem, prosząc o przebaczenie, wyznając miłość. Po długim czasie w końcu się udało. Wkrótce jednak coś w nim pękło i to on ją zostawił. Wtedy z kolei Wiesia zabiegała o jego powrót. Scenariusz powtarzał się kilkakrotnie. Chociaż często się kłócili, trudno im było bez siebie wytrzymać. Już wtedy wiele ich łączyło: taniec, czytanie książek, wycieczki rowerowe po okolicznych terenach, a później działalność polityczna. Wiesia dała się poznać jako osoba inteligentna, z poczuciem humoru i dystansem do siebie. Była bardzo ambitna, a do tego świetnie tańczyła. Ich zaręczyny

trudno uznać za jakieś wyjątkowe. Wspólnie podczas jednej z rozmów doszli do wniosku, że to chyba jednak miłość i najwyższy czas, by sformalizować związek. Nie obyło się jednak bez złotego pierścionka zaręczynowego z dwoma sercami.

Ślub odbył się w Koszalinie, w budynku jednostki wojskowej. Obecne były rodziny z obu stron, przyszło także wielu kolegów Janka. Obowiązki związane z przygotowaniem uroczystości i jej koszty podzielili między siebie rodzice pary młodej. Anna i Eugeniusz podjęli się między innymi zakupu alkoholu. To stanowiło spore wyzwanie, bo zdobycie go w większej ilości nie było w owych czasach łatwe. Gdy się z tym uporali, Janek schował cenne butelki w schowku pod tapczanem – w miejscu, w którym zwykle trzymało się pościel. W akademiku wieści rozchodziły się szybko, a trudno było nie zauważyć Szumańskiego idącego ze skrzynkami z alkoholem. Dźwięk szkła niósł się po korytarzach. Jeszcze tego samego dnia do jego pokoju kierowały się pielgrzymki studentów, którzy prosili, by pożyczył butelkę na imprezę, bo oni nie mogli dostać. Nie pomogło nawet tworzenie skrupulatnych notatek, kto i ile wzięł. Termin wesela zbliżał się nieubłaganie, a znajomi wódki nie zwracali. Janek wpadł w panikę. Biegał od pokoju do pokoju i błagał o zwroty. Ostatecznie zabrakło tylko kilku sztuk i nikt tego nie zauważył.

Podczas wesela przed wejściem do lokalu na warcie stało dwóch żołnierzy. Gościom było ich szkoda, więc co chwila ktoś wychodził na zewnątrz i donosił im po kieliszku czystej. Każdy po jednym, ale owych współczujących było wszak wielu... Po jakimś czasie żołnierze nie mogli ustać na nogach. Siedzieli pijani na schodach.

Pod koniec zabawy Eugeniusz zaczął odwozić gości do akademika. To tam Janek załatwił im pokoje. Niestety, jego ojciec sam nie był w dobrym stanie. W którymś momencie, cofając wóz, wjechał w inny samochód. Uszkodzeniu uległ bagażnik. Mimo to Szumański senior zrobił kilka rund i w końcu wszyscy weselnicy zostali rozlokowani w akademiku. Zostali tylko Janek z Wiesią. Siedzieli na schodach z pijanymi żołnierzami, czekając, ale ojciec się nie pojawiał. Wreszcie po bardzo długim czasie nadjechał.

– Przepraszam, kochani, zapomnieliśmy o was! – wymruczał, wyskakując z samochodu.

Rodzina Wiesi była niewierząca i ona sama została wychowana w tym duchu. Jej ojciec, pułkownik Wojska Polskiego, był członkiem komunistycznego rządu. To Jan przekazywał jej wiedzę uzyskaną od dziadka i dzielił się z nią doświadczeniami z działalności studenckiej. Ona zaś szybko przejęła jego poglądy i razem z nim przystąpiła do działalności w podziemiu. U Wiesi w rodzinie nigdy nie rozmawiało się o przeszłości ojca i o tym, w jaki sposób dorobił się w PRL-u takiej funkcji. Polityka była tematem tabu. Nie poruszano go. Wiesia i jej starsza siostra Ela nie знаły żadnej innej prawdy niż ta, którą przedstawiała komunistyczna wersja cudownego świata. Nie miały więc powodu, by dociekać, jak jest w rzeczywistości. Jak na polskie warunki powodziło im się całkiem nieźle. Mieszkanie w bloku otrzymali z przydziału dla wojskowych. Mieli też działkę – dzięki stanowisku ojca.

Kiedy Janek go poznał, przyszły teść był już jednak innym człowiekiem. Chyba zaczynał rozumieć, jak niewydolnym systemem jest komunizm. Tyle że przynajmniej to, musiałby przekreślić wszystko, czym się do tamtej pory zajmował. Odsuwał więc te myśli na bok. Stał się bardzo spokojnym starszym panem, który nie zabierał zbyt często głosu. Janek bardzo go lubił, choć znali się krótko. Czy jeszcze kiedyś go zobaczy?

Działając w podziemiu, świeżo upieczeni małżonkowie zajmowali się między innymi drukiem ulotek. Jan wykorzystał swoje znajomości na uczelni, by zyskać dostęp do prymitywnej drukarki. Część ulotek rozdawał na uniwersytecie, inne rozwieszał w różnych częściach miasta. Robił to w nocy, z duszą na ramieniu, widząc w każdym przejeżdżającym samochodzie zagrożenie. Nikt nigdy nie był pewien, z kim ma do czynienia. „Nawet teraz w pociągu wolimy z Wisią milczeć niż rozmawiać, bo gumowych uszu nie brakuje – myśli Szumański ze smutkiem. – Wielu znajomych współpracowało ze Służbą Bezpieczeństwa. Nawet niektórzy księża udawali, że nas popierają, a później przekazywali wiadomości odpowiednim urzędowi...” Studenci z NZS mieli kontakt z organizacją PAX. W przeszłości zrzeszała ona katolików współpracujących z komunistycznymi władzami, później wspierała dążące do zmian oddolne ruchy. NZS-owi pomagała w podstawowych czynnościach – jej działacze brali udział w przygotowaniu i kolportażu ulotek, informowali o wydarzeniach w innych miastach, a przede wszystkim rozmawiali o dalszych planach – zawsze studząc gorące głowy młodych ludzi

pełne brawurowych pomysłów. Początkowo ulotki wydawane były w bardzo małej liczbie. Zmiana nastąpiła, kiedy jeden z kolegów zaproponował pomoc swojej kuzynki pracującej w sporym wydawnictwie. Wtedy powstało redagowane przez studentów czasopismo „Po Prostu”. Informowało o wydarzeniach w kraju i o wyzysku Polski przez ZSRR. Znajdowały się tam też artykuły polityczne działaczy polskiego podziemia, a nawet żarty i dowcipy dla poprawy humoru.

O prawdziwej konspiracji nie było mowy. Służba Bezpieczeństwa doskonale wiedziała, kto i czym się zajmował. Prawdopodobnie nie dostrzegła w Janku i Wiesi na tyle groźnych aktywistów, by zwracać sobie głowę ich aresztowaniem. Być może zostawiła ich w spokoju również dlatego, że wtajemniczeni czekali na stan wojenny, aby móc zatrzymać wszystkich podejrzanych równocześnie. Do tego Koszalin nigdy nie był tak aktywny politycznie jak Poznań, Gdańsk czy Warszawa. Działała tu ledwie garstka osób, której przewodziło młode małżeństwo. Największym sukcesem ich ruchu było doprowadzenie do strajku okupacyjnego na uczelni. Grupa zorganizowała spotkanie wszystkich studentów w sali gimnastycznej. Większość na początku nie zamierzała przystępować do protestu. „Przemawialiśmy, i Wiesia, i ja, ale nie pamiętam, co dokładnie powiedziałem. Byłem bardzo zdenerwowany i jednocześnie podniecony... Wiem jedynie, że na koniec oddałem decyzję, co dalej, w ręce studentów. Byłem szczęśliwy i dumny, kiedy po pytaniu, czy jesteście gotowi na strajk, większość podniosła ręce i wykrzyczała: Strajk!” – Jan bezwiednie się uśmiecha do tego wspomnienia.

Nowe zadanie trochę ich jednak przerosło. Nauka i praca zarobkowa nie zostawiała tak wiele wolnego czasu, by mogli samodzielnie rozwijać wymarzone pismo. Młodzi się jednak nie poddawali. Pokój Jana w akademiku zamienił się w centrum konspiracyjne. Wielokrotnie gasił światło dopiero nad ranem, kiedy wszyscy wyszli. Zmęczenie dawało się we znaki, tym bardziej że nie było wielu chętnych do pisania artykułów. W rezultacie robili to głównie Szumańscy. Niedługo potem znaleźli pomoc poza uczelnią. Nie było innego wyjścia, ale w efekcie wyszło im to na dobre. Dostawali ulotki z różnych miast, publikowali więc ich treść, a także artykuły pisane przez członków KOR-u, czyli Komitetu Obrony Robotników, oraz przedstawicieli pozostałych organizacji podziemnych.

W tych zwariowanych czasach Wiesia przyniosła Jankowi nieoczekiwaną wiadomość.

– Będziemy mieli dziecko! – oznajmiła, czekając z niepokojem na jego reakcję.

Poczuł radość, ale i strach. Zaczęli pracować podwójnie. Teraz już nie tylko dla siebie, lecz także w trosce o przyszłość małżeństwa. Żeby żyło w lepszym świecie... Sytuacja w Polsce wcale jednak tego nie ułatwiała. Zaczęły się represje. Z innych uniwersytetów napływały wiadomości o aresztowaniach. Jan często widywał białego „dużego fiata” jeżdżącego za jego „maluchem”. Mimo to nadal nie zdawał sobie sprawy ze skali zagrożenia i z wielkości ryzyka, jakie podejmował.

Lipiec 1979 roku. To był tragiczny dzień w życiu Szumańskich. Wiesi odeszły wody w piątym miesiącu ciąży i zabrano ją do szpitala. Jan wiele godzin przesiedział w poczekalni. Nie chciał uwierzyć w zły los. Cekał na chwilę, kiedy pojawi się żona z wiadomością, że wszystko jest w porządku i że mogą bezpiecznie wracać do domu. Niestety, zamiast niej zjawił się lekarz i powiadomił, że dziecko urodziło się martwe. Wiesia musiała jeszcze zostać w szpitalu. Wyszedł. Przed szpitalem zupełnie stracił nad sobą kontrolę. Nigdy wcześniej nie płakał tak rozpaczliwie. Wsiadł do samochodu. Nie ruszył jednak, bo nie wiedział, dokąd jechać. Jedyne, o czym myślał w tamtym momencie, to by znaleźć kogoś, kto mógłby go wysłuchać, zrozumieć, pocieszyć, do kogo mógłby się najzwyczajniej w świecie przytulić. W końcu skierował się do Środy Wielkopolskiej. Tam mieszkali jego siostra i szwagier. Jadąc, krzyczał z rozpacz. Po jego twarzy płynęły łzy. Potem wpadł w gniew. „Kurwa, dlaczego nam się to przydarza?!” – myślał z wściekłością.

Po wielu godzinach jazdy znalazł się w końcu przy domu Oli. Nie zastał ani jej, ani szwagra. Wrócił do samochodu i pojechał przed siebie. Była już noc, a wokół las. Łzy nie przestawały napływać do oczu. Jan wpadł w rodzaj zobojętnienia i letargu. Do dziś nie wie, w jaki sposób wrócił do Koszalina. Drogi powrotnej nie pamięta. To była koszmarna noc. Jakimś cudem w końcu się udało. Bardzo mu na tym zależało. Nie chciał jechać do Wiesi w tak złym stanie. Potrzebował wsparcia, ale ona potrzebowała go bardziej. Udał się do niej następnego dnia. Od feralnej wiadomości minęło co najmniej kilkanaście godzin. Po wejściu do

szpitala niezauważony przemknął przez korytarz. Gdy do niej dotarł, nie mówili nic. Przytulili się tylko do siebie. Tak po prostu.

Kilka kolejnych dni upłynęło mu na leżeniu w łóżku. W końcu jednak musiał się ruszyć. Trzeba było zorganizować pogrzeb. Sam włożył do trumny zawinięte w biały materiał ciało dziecka. Sam niósł trumienkę do miejsca, w którym maleństwo miało zostać pochowane. Ból i żal były nie do opisania.

Teraz w pociągu relacji Koszalin–Warszawa oczy Jana ponownie wilgotnieją. „Spoczywaj w pokoju, moja kochana Moniko” – kołaczę mu się w głowie. Nagle orientuje się, że jest w przedziale. Łzę, która spływa po policzku, szybko wyciera rękawem. Nie chce, by ktokolwiek ją widział, a już szczególnie nie Wiesia.

Przez długi czas cmentarz odwiedzał codziennie. Pewnego razu, stojąc przy grobie córki, usłyszał podejrzany ruch za plecami. Nawet nie zdążył się odwrócić. Obudził się, leżąc na ziemi, z głowy ciekła mu krew. Ból nie pozwalał myśleć o tym, co się stało. Z trudem doszedł do mieszkania rodziców Wiesi, gdzie oczekiwała go żona.

– Mój Boże, Jan! Co ci się stało?!

Nie potrafił jej jednak dać żadnego wyjaśnienia. Był oszołomiony. „Nigdy nie poznamy prawdy. Musiał to być któryś z tych, co nas prześladowali, ale pewności nigdy nie można mieć. Nie lubię tworzyć teorii spiskowych. Jestem człowiekiem faktów” – podsumowuje teraz.

Wkrótce po pogrzebie trzeba było wziąć się w garść. Na horyzoncie rysowało się zakończenie studiów. Zgodnie z przepisami po nich musiał zgłosić się do wojska. Postanowił tego nie odkładać. Poprosił teścia o załatwienie służby natychmiast po zakończeniu nauki. Ten wrócił jednak z wiadomością, że prośba została odrzucona. „Nie chcieli mnie w wojsku ludowym. Coś podobnego. O czymś takim nigdy wcześniej nie słyszałem. Pewnie woleli nie przyjmować ludzi związanych z podziemiem” – Janek wspomina teraz swoje zdumienie. Szybko wrócił do działalności politycznej. Wychodził z założenia, że tylko praca pozwoli mu w miarę normalnie funkcjonować.

Kiedy Jan był na ostatnim roku studiów, w narodzie coś zaczęło pękać. Wszystko wskazywało na to, że ludzie wyjdą na ulice. W Niezależnym Związku Studentów górę zaczęły jednak brać nastroje ugodowe.

Studenci się bali i chcieli robić wszystko ostrożniej. Jan z takim stanowiskiem się nie zgadzał, więc zrezygnował z przewodzenia organizacji. Zastąpiła go Wiesia. On sam skoncentrował się na wydawaniu „Po Prostu”. Ostrożność wynikała również z tego, że coraz więcej mówiło się o planowanym strajku generalnym Solidarności. Janek sam często zastanawiał się nad poczynaniami „S” i innych związków. Miewał wątpliwości. A może marzenia o wolności i zwycięstwie nad komunizmem to rojenia naiwnej młodzieży? Choć nigdy nie zwątpił w sens działalności w podziemiu solidarnościowym, zaczynało mu po prostu brakować wiary w przyszłość.

Wiosna 1981 roku przyniosła w końcu Szumańskim radosną wiadomość. Wiesia ponownie zaszła w ciążę. Zaczęli częściej rozmawiać o przyszłości i o tym, co powinni zrobić. Młodzi małżonkowie spodziewali się ogólnego powstania, a do tego Jana nie chcieli w wojsku. To było jak ostrzeżenie: „Jesteś, człowieku, na liście podejrzanych, w każdej chwili spodziewaj się aresztowania”. Do tego wszystkiego dziecko i strach przed nieznanym. Czy przedwczesny poród może się powtórzyć? Jakie są szanse na bezpieczne życie dziecka w tym kraju? Problemów było więcej. Janek ukończył studia, ale obrona pracy dyplomowej została wyznaczona na późniejszy termin. Wiesia miała jeszcze jeden rok do zaliczenia. Wiedzieli, że jeśli wyjadą z Polski, przekreślą kilka lat nauki. Będą zaczynać od zera. Do tego dochodziły nieznajomość języków obcych i po prostu brak pieniędzy. Przerażało też pozostawienie bliskich w Polsce. Wiara w siebie samych, marzenia i nadzieje kazały wyjeżdżać. Rozum i logika podpowiadały, że lepiej pozostać w kraju. Szalę przeważała informacja, którą młodym przekazał ojciec Wiesi. Pułkownik wprost powiedział, że w wojsku coś się zaczyna zmieniać – trwają jakieś przygotowania „jeszcze nie wiadomo do czego”, ale to wszystko, jego zdaniem, powiązane jest z Solidarnością. W tamtym momencie małżonkowie podjęli najważniejszą decyzję w życiu – wyjeżdżają. Był czerwiec 1981 roku.

Odgłos hamowania pociągu wyrывa Jana ze wspomnień, teraz już tych najświeższych, bo zaledwie sprzed tygodnia. Stacja Warszawa Centralna.